

Opowiadania

Silverberg Robert



calibre 0.9.43

ROBERT SILVERBERG

OPOWIADANIA

Przeciwno Babilonowi

Carmichael przyleciał tego ranka z Nowego Meksyku i gdy tylko posadził swój mały samolot w Burbank, powiedziano mu, że w całej kotlinie Los Angeles wybuchły pożary, których nie udało się dotąd opanować. Powiedziano mu, że bardzo go potrzebują. Był koniec października, szczyt pory pożarów w południowej Kalifornii. Znad pustyni wiał suchy, silny i gorący wiatr; ostatni raz padało piątego kwietnia.

Natychmiast zadzwonił do rejonowego inspektora, a ten powiedział mu: - Mike, zbieraj dupę w troki i zasuważ.

- Gdzie jestem potrzebny?

- Najgorzej jest powyżej Chatsworth. Na lotnisku Van Nuys mamy załadowane i gotowe do startu samoloty.

- Muszę się odlać i zadzwonić do żony. Będę na Van Nuys za piętnaście minut, dobra?

Czuł, jak zmęczenie włazi mu w kości. Była dziewiąta rano, a leciał od pół do czwartej. Droge miał ciężką; miotał nim ten sam porywisty, wiejący z serca kontynentu wiatr, który teraz niósł ze sobą groźbę rozszerzenia pożaru na Los Angeles. W tej chwili pragnął jedynie domu, prysznic, Cindy i łóżka. Jednakże dla Carmichaela udział w gaszeniu pożaru nie był kwestią wyboru. O tej porze roku całe to zwariowane miasto mogło pogrążyć się w morzu ognia. Niekiedy prawie tęsknił do czegoś takiego. Nienawidził tego zapyłonego, krzykliwego miasta-Babilonu, nieskończonej gmatwaniny autostrad, domów o dziwacznych kształtach, zasmrodzonego powietrza, gęstej, dławiącej, połyskliwej i wszędobylskiej roślinności, narkotyków, alkoholu, rozwodów, próżniactwa, tandety, porno-shopów, domów schadzek i salonów masażu, cudacznych ludzi o cudacznych fryzurach, noszących cudaczne stroje i prowadzących cudaczne samochody. Jego zdaniem wszystko tutaj naznaczone było tandetą i szmirą. Nawet rezydencje i wyszukane restauracje były właśnie takie - puste jak malowane dekoracje filmowe. Niekiedy miał uczucie, że

tandetność dręczy go bardziej niż skończone zło. Jeśli nie tracisz z oczu własnych wartości, możesz zmagać się ze złem, ale tandeta cię zalewa i przenika do duszy nawet bez twojej wiedzy. Miał nadzieję, że pobyt w Los Angeles nie wpływa na niego w ten sposób. Przybył tu z Doliny, a dla niego oznaczało to wielką dolinę San Joaquin, aż za Bakersfield, a nie tutejszą, małą i zaśmieconą dolinę San Fernando. Ale Los Angeles było miastem Cindy i ona je kochała, a on kochał Cindy i dla niej mieszkał tutaj przez siedem lat, w Laurel Canyon, wśród bujnych, zielonych zagajników, i przez siedem październików pod rząd wylatywał zrzucić chemiczne substancje gaszące, by ochronić mieszkańców miasta przed ich idiotyczną bez troską. Carmichael uważał, że trzeba wywiązywać się ze swoich obowiązków.

Domowy telefon dzwonił siedem razy, nim odłożył słuchawkę. Następnie zatelefonował do małego warsztatu, gdzie Cindy pracowała nad biżuterią, ale i stamtąd nie odpowiadała, a było za wcześnie, by złapać ją w galerii. Dręczyło go, że nie może przywitać się z żoną zaraz po trzydniowej nieobecności, a teraz nie będzie miał na to żadnej szansy przez najbliższe osiem do dziesięciu godzin. Ale nic na to nie mógł poradzić.

Gdy znów wzbił się w górę, niedaleko, na północnym zachodzie ujrzał pożar - czarny, smolisty słup na tle bladego nieba. A gdy parę minut później wysiadł z samolotu na Van Nuys, uderzył w niego nagły podmuch gorąca. W Burbank temperatura wynosiła ze czterdzieści stopni - cholerny upał jak na dziewiątą rano ale tu było prawie pięćdziesiąt. Słyszał odległy ryk ognia, trzaski i huk płonących zarośli oraz szczególny, świszczący dźwięk, jaki wydaje zeschnięta trawa, gdy obejmują ją płomienie.

Lotnisko wyglądało jak centrum dowodzenia bitwą. Samoloty przylatywały i odlatywały jak zwariowane, a były to też zwariowane samoloty: wszelkiego rodzaju antyki sprzed czterdziestu, pięćdziesięciu lat, a nawet starsze: przerobione Latające Fortece B-17, DC-3, jakiś Douglas Invader oraz - ku zdumieniu Carmichaela - Ford Trimotor z lat trzydziestych, który chyba został

wyciągnięty z jakiejś rekwizytorni filmowej. Niektóre z nich wyposażone były w zbiorniki z chemicznymi środkami gaśniczymi, inne w pompy wodne, jeszcze inne latały jako samoloty obserwacyjne: u dysz lśniły im czujniki elektroniczne. Zaganiani mężczyźni i kobiety spieszyli tu i tam pokrzykując do przenośnych nadajników i czuwając nad przebiegiem załadunku. Carmichael znalazł drogę do pokoju operacyjnego pełnego wyczerpanych ludzi wpatrujących się w monitory komputerów. Większość z obecnych znał z poprzednich lat.

- Mamy dla ciebie DC-3 - powiedział jeden z kontrolerów. - Zrzucisz chemikalia wzdłuż tego łuku: od Ybarra Canyon na wschód do Horse Flats. Pożar objął podgórze Santa Susana; jak dotąd mamy wiatr ze wschodu, ale jeśli zmieni się na północny, ogień ogarnie wszystko od Chatsworth po Granada Hills i dalej do Ventura Boulevard. A to tylko jeden pożar.

- Ile ich jest?

Kontroler uderzył w klawisze. Z monitora zniknęła mapa doliny San Fernando; zastąpił ją obraz całej kotliny Los Angeles. Carmichael wytrzeszczył oczy. Trzy wielkie, szkarłatne pręgi wskazywały strefy ognia: najbliższa wzdłuż Santa Susana, następna, niemal równej wielkości, oddalona nieco na wschód - na łąkach po północnej stronie autostrady 210 wokół Glendory lub San Dimas, a trzecia niżej, we wschodnim Orange County, za Anaheim Hills. - Jak dotąd nasz jest największy - powiedział kontroler. - Ale te dwa oddalone są tylko o czterdzieści mil i jeśli dojdzie do ich połączenia...

- Taa... - mruknął Carmichael. Jedna ściana ognia pędząca po wschodniej krawędzi kotliny Los Angeles. Jeśli powieje wiatr z Santa Ana, poniesie płomień na zachód, przez Pasadenę, śródmieście Los Angeles, Beveray Hills aż do wybrzeża, do Venice, Santa Monica, Malibu. Zadygotał. Laurel Canyon pójdzie z dymem. Wszystko pójdzie z dymem. Gorzej niż Sodomą i Gomorą, gorzej niż upadek Niniwy. Nic tylko popioły na tysiącach mil.

- Wszyscy trzęsą się ze strachu przed ruskimi atomówkami, a jeden wóz pełen głupich

dzieciaków palących papierosy może równie dobrze załatwić całą sprawę.

- Ależ to nie były papierosy, Mike - powiedział kontroler. - Nie?

A co, podpalenie?

- Nie słyszałeś?

- Przez ostatnie trzy dni byłem w Nowym Meksyku. - Więc tylko ty jeden nic nie wiesz.

- Na miłość Boską, o czym nie wiem?

- O Kosmitach - powiedział kontroler ze znużeniem. - To oni zaproszyli ogień. Trzy starki

kosmiczne lądujące o szóstej nad ranem w trzech różnych krańcach kotliny Los Angeles. Wyszła trawa zajęła się od żaru z ich silników.

Carmichael nie uśmiechnął się. - Chłopie, masz dziwaczne poczucie humoru.

- Ja nie żartuję - odparł kontroler.

- Statki kosmiczne? Z innej planety?

- Ze stworami wysokości piętnastu stóp na pokładzie - powiedział kontroler przy sąsiednim komputerze. - Właśnie teraz spacerują sobie po autostradach. Mają po piętnaście stóp wzrostu, Mike.

- Z Marsa?

- Nikt nie wie, skąd, do diabła, przylecieli.

- Chryste Panie - jęknął Carmichael.

Gdy wzniósł się do góry, ciąg powietrza od buchającego ognia szarpnął samolotem i na chwilę Carmichael znalazł się w opałach. Ale odzyskał panowanie nad sterami działając spokojnie i automatycznie. Wierzył, że najważniejsze to posiąść instynktowne czucie w palcach, ramionach i udach, a niekoniecznie w świadomych partiach mózgu. Świadomość może cię zaprowadzić daleko, ale w końcu trzeba działać instynktownie lub zginąć.

Czuł, jak samolot reaguje, i zdobył się na uśmiech. DC-3 to stare, twarde sztuki. Uwielbiał na

nich latać, choć nawet najmłodsze z nich wyprodukowano przed jego urodzeniem. Uwielbiał latać na czymkolwiek. Nie dla zarobku, teraz nic nie robił dla zarobku, już nie musiał - ale latał. Miesiącami spędzał więcej czasu w powietrzu niż na ziemi albo też tak mu się wydawało, bo godziny na dole często przemykały nie zauważone, a czas w powietrzu był bardziej intensywny, wydłużał się.

Nim skierował się w strefę ognia przez Canoga Park, skręcił na południe, nad Encino i Tarzana. Mgielka popiołu przesłoniła słońce. Patrząc w dół mógł dostrzec domki, baseniki kąpielowe i ludzików biegnących to tu, to tam, rozpaczliwie starających się przed nadejściem płomieni nawilżyć dachy swych domów wodą z węży ogrodniczych. Tyle domów, tylu ludzi wypełniających każdy cal przestrzeni między wybrzeżem a pustynią i teraz to wszystko znalazło się w niebezpieczeństwie. Zaułki na południowym krańcu Topanaga Canyon Boulevard były dziś, późnym rankiem, tak zapchane samochodami, jak hollywoodzka autostrada w godzinach szczytu. Gdzie oni wszyscy jadą? Tak, dalej od ognia, chyba w stronę wybrzeża. Może jakiś kaznodzieja telewizyjny powiedział im, że u brzegu Pacyfiku pojawiła się arka i czeka na nich, by zabrać ich w bezpieczne miejsce, podczas gdy Bóg spuszczać będzie deszcz siarki na Los Angeles. Może na prawdę tam czeka. W Los Angeles wszystko jest możliwe, nawet najeźdźcy z Kosmosu spacerujący po autostradach. Jezu, Jezu. Carmichael nie bardzo wiedział, jak się w myślach z tym uporać.

Zastanawiał się, gdzie jest Cindy i co o rym wszystkim myśli. Najpewniej wydawało się jej to bardzo zabawne. Cindy miała cudowną zdolność bawienia się wszystkim. Lubiła cytować linijkę z wiersza tego Rzymianina, Wergiliusza: narasta sztorm, statek przecieka, za jedną burtą wodny wir, za drugą - morskie potwory, a kapitan zwraca się do swojej załogi i mówi: "Może któregoś dnia będziemy to wspominać i się śmiać". Taka jest Cindy, pomyślał Carmichael. Wieje wiatr od Santa Ana, płoną trzy wielkie ogniska pożaru i jednocześnie przybyli najeźdźcy z Kosmosu, ale któregoś

dnia będziemy to wspominać i się śmiać. Serce przeppełniła mu miłość i tęsknota za nią. Nic nie wiedział o poezji, dopóki nie poznał Cindy. Zamknął na chwilę oczy i przywołał w pamięci jej obraz: ciężkie sploty czarnych jak smoła włosów, olśniewający, żywy uśmiech, smukłe, opalone ciało rozbłyskujące zadziwiającymi pierścieniami i naszyjnikami, które projektowała i wyrabiała. I oczy. Żadna ze znanych mu osób nie miała takich oczu jak ona: promienne, z dziwnie figlarnymi ognikami, potrafiły patrzeć na świat w jedyny, niepowtarzalny sposób. To właśnie ukochał w niej najbardziej. Do diabła z tym pożarem, właśnie teraz, kiedy byłem daleko przez trzy dni. Do diabła z tymi głupkami z Marsa!

Tam gdzie kończyły się schludne rzędy i zakola podmiejskich ulic, rozpościerała się wielka otwarta, trawiasta połać ziemi, którą długie lato wypaliło na kolor lwiej skóry; dalej leżały góry, a między nimi i łąką płonął ogień, niczym ogromna poprzeczna, czerwona grań zwieńczona pióropuszem czarnego, śmierdzącego dymu. Wyglądało na to, że ogarnął już setki, jeśli nie tysiące akrów. Carmichael słyszał kiedyś, że sto akrów płonących zarośli wydziela taką ilość energii cieplnej, jak bomba atomowa, którą zrzucano na Hiroszimę.

Przez trzaski zakłóceń radiowych dobiegł go głos dowódcy odcinka kierującego operacją z helikoptera zawieszzonego w powietrzu na południowym wschodzie. - DC-3, kto pilotuje?

- Carmichael.

- Carmichael, staramy się zlokalizować go z trzech stron. Ty działasz na wschodzie. Limekiln Canyon, poniżej flanki Porter Ranch Park. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - odpowiedział Carmichael.

Leciał nisko, poniżej tysiąca stóp. Dzięki temu dobrze widział całą akcję: drwale w kaskach i pomarańczowych kamizelkach rąbali płonące drzewa tak, by padły w stronę ognia; załogi buldożerów usuwały zarośla z zasięgu płomieni; koparki wycinały przeciwogniowe zasieki; helikoptery pompowały wodę na pojedyncze języki ognia. Podciągnął się o pięćset stóp, by

wyminać jednosilnikowy samolot obserwacyjny, a następnie jeszcze o pięćset, by uniknąć zawirowań powietrza wywołanych przez ogień. Na tej wysokości wyraźnie rysował mu się obraz pożaru ciągnącego się z zachodu na wschód, niczym krwawa szrama, szersza u zachodniego końca. Dokładnie na wschód od najdalej wysuniętego krańca pożaru ujrzał kolistą strefę wypalonej jui trawy o powierzchni około stu akrów, a w samym jej środku stało coś, co wyglądało jak aluminiowy silos o rozmiarach dziesięciopiętrowego gmachu. W sporej odległości otaczał go kordon wojskowych pojazdów. Poczul zawrót głowy. To coś, uświadomił sobie, to musi być statek Kosmitów.

Przybył w nocy z zachodu, pomyślał Carmichael, szybując jak ogromny meteor nad Oxnard i Camarillo, ześlizgując się w stronę zachodniego krańca doliny San Fernando, muskając trawę ogniem odrzutu i pozostawiając za sobą płonąca bruzdę. A potem osiedli łagodnie, właśnie w tamtym miejscu, i stłumili pożar wokół siebie nie troszcząc się w ogóle o ogień, który rozniecili po drodze. Bóg jeden wie, co za stwory wylazły z tego statku, by przyjrzeć się Los Angeles.

Wychodziło na to, że jeśli Kosmici w końcu wylądują otwarcie, zrobią to właśnie tutaj.

Prawdopodobnie wybrali to miasto, bo tak często oglądali je w telewizji - czy we wszystkich historiach o UFO nie twierdzono, że oni zawsze mają na podglądzie transmisje naszej TV? No to widzieli Los Angeles w każdym programie i prawdopodobnie doszli do wniosku, że jest to stolica świata, znakomite miejsce na pierwsze lądowanie. Ale dlaczego, zastanawiał się Carmichael, skurwiele musieli wybrać szczyt okresu pożarów, żeby przybyć tutaj na swoich statkach.

Pomyślał znowu o Cindy, o tym, jak fascynowały ją historie o UFO i Kosmitach, o książkach, które czytała, i o pomysłach, które przychodziły jej do głowy; w jaki sposób patrzyła na gwiazdy, gdy pewnej nocy obozowali w Kings Canyon i gadali o istotach, które muszą na nich żyć. - Tak bardzo chciałabym je zobaczyć - powiedziała. - Tak bardzo chciałabym je poznać i dowiedzieć się, co myślą. - W Los Angeles pełno było wariatów, którzy chcieli przelecieć się w latającym spodku

albo twierdzili, że już to mają za sobą, ale gdy Cindy tak o tym mówiła, dla Carmichaela nie brzmiało to jak wariactwo. To prawda, że cechowało ją typowe dla mieszkańców Los Angeles upodobanie do egzotyki i dziwactwa, ale wiedział, że jej duszy nigdy nie tknęło tutejsze obłąkańcze zepsucie, że nie nadwerężyło jej powszechne pożądanie tego, co irracjonalne i cudaczne, sprawiające, że czuł do tego miasta taką odrazę. Jeśli jej wyobraźnia kierowała się ku gwiazdom, powodem była ciekawość, nie szaleństwo. Ciekawość, głód nie doświadczonego, chęć pochwycenia tego, co niepojmowalne, leżały po prostu w jej naturze. On wierzył w Kosmitów nie więcej niż w jednorożce, ale ze względu na nią powiedział, że ma nadzieję, iż jej życzenia się spełnią. A teraz ufoludy naprawdę się tu znalazły. Mógł sobie ją wyobrazić, jak z błyszczącymi oczyma stoi na skraju-kordonu wpatrując się w statek kosmiczny. Szkoda, że nie może być teraz razem z nią, nie może czuć, jak przepływa przez nią podniecenie, radość, ciekawość, oczarowanie. Ale ma przed sobą zadanie do wykonania. Skręcając DC-3 na zachód zapikował na tyle blisko skraju ognia, na ile starczyło mu odwagi, i nacisnął przycisk uwalniający ładunek. Rozpostarła się za nim wielka szkarłatna chmura: gęsta jak farba papka z siarczku amonowego i wody, z dodatkiem czerwonego barwnika, by można było określić, jakie obszary zostały spryskane. Krople przywra do wszystkiego i zatrzymają wilgoć przez wiele godzin.

Szybko opróżnił pięćsetgalonowe zbiorniki i zawrócił na Van Nuys po nowy ładunek. W skroniach pulsowało mu od zmęczenia, a odór mokrej, zwęglonej ziemi przenikał z dołu przez blachy starego samolotu. Nie minęło jeszcze południe. Całą noc był na nogach. Na lotnisku przygotowano kawę, kanapki, tacos, burritos. Czekał, aż obsługa naziemna napełni zbiorniki, wszedł do środka i ponownie zadzwonił do Cindy: znów nie było odpowiedzi z domu i z pracowni. Połączył się z galerią, a chłopak, który tam pracował, powiedział mu, że nie miał z nią kontaktu od rana.

- Jeśli się odezwie - polecił mu Carmichael - powiedz jej, że latam do pożaru z Van Nuys nad

Chatsworth i będę w domu, jak tylko tu się trochę uspokoi. Powiedz jej też, że tęsknię za nią. I jeszcze, że jeśli trafię na Kosmitę, to dam mu od niej całusa. Zapamiętałeś? Powtórz jej to właśnie.

Idąc przez główny hall zobaczył tłum skupiony wokół kogoś, kto niósł przenośny telewizor.

Carmichael przepchał się łokciami właśnie w chwili, gdy spiker powiedział: - Jak dotąd przybysze ze statków kosmicznych w San Gabriel i Orange County nie dali znaku życia. A oto przerażający widok, który zaszokował mieszkańców dzielnicy Porter Ranch między dziewiątą a dziesiątą rano. - Ekran ukazał dwie wyprostowane cylindryczne postacie, które wyglądały jak kałamarnice przechadzające się na czubkach macek.

Szły ostrożnie przez parking centrum handlowego, zerkając tu i ówdzie wielkimi jak talerze, żółtymi oczyma.

Co najmniej tysiąc gapiów zdradzających zarazem fascynację i wstręt przypatrywało się im z bezpiecznej odległości. Co i raz stwory zatrzymywały się, by zetknąć się czołami, jakby nawiązując w ten sposób łączność. Poruszały się bardzo zgrabnie, ale Carmichael zauważył, że przewyższają latarnie uliczne: miały dwanaście, może piętnaście stóp wysokości. Powierzchnia ich purpurowych ciał przypominała wyprawioną skórę; z obu boków jarzyły się rzędy fosforyzujących punktów.

Telewizyjna kamera wysunęła się próbując zbliżenia, potem podskoczyła i zakołysała się gwałtownie, gdy niezwykle długi i giętki język wystrzelił z piersi jednej z istot i zaciął po tłumie. Przez chwilę na ekranie widać było tylko niebo, potem Carmichael zobaczył ujęcie oszołomionej dziewczynki w wieku może czternastu lat, pochwyconej w pasie przez język Kosmity, który uniósł ją w powietrze i niczym pobrany okaz wcisnął do wąskiej zielonej torby. - Grupy olbrzymich stworów grasowały po mieście blisko godzinę - stwierdził komentator. - Ustalono ostatecznie, że pochwyciły one od dwudziestu do trzydziestu ludzi, nim wróciły na własne statki. W tym samym czasie przy wietrze z Santa Ana trwa rozpacзлиwa akcja przeciwpożarowa w sąsiedztwie trzech

punktów lądowania...

Carmichael potrząsnął głową. Oto Los Angeles, pomyślał. Co za ludzie tu mieszkają: wychodzą i pozwalają, by Kosmici pożerali ich tak jak żaby łykają muchy.

Może myślą, że to tylko kino i wszystko skończy się dobrze na ostatniej rolce filmu. A potem przypomniał sobie, że Cindy należy do takich ludzi, którzy z miejsca podeszliby do jednego z tych Kosmitów. Cindy należy do gatunku, który zamieszkuje Los Angeles, powiedział sobie, tylko że Cindy jest i n n a. Na swój sposób.

Wyszedł na zewnątrz. DC-3 był załadowany i gotów do startu. Wyglądało na to, że w ciągu czterdziestu pięciu minut od chwili, gdy odleciał z linii ognia, pożar rozprzestrzenił się znacznie na południe. Tym razem dowódca odcinka polecił mu zrzucić chemikalia od węzła autostrady De Soto do północnowschodniego rogu Porter Ranch. Gdy wrócił na lotnisko i zamierzał ponownie zadzwonić do Cindy, mężczyzna w wojskowym mundurze zatrzymał go, jak szedł przez pole startowe.

- Pan Mike Carmichael, zamieszkały w Laurel Canyon?

- Tak.

- Mam dla pana niedobłą wiadomość. Wejdźmy do środka.

- Może powie mi pan tutaj, dobra?

Oficer spojrzał na niego w osobliwy sposób. - Chodzi o pana żonę - powiedział. - Nazywa się Cynthia Carmichael?

- Mów pan - rzekł Carmichael.

- Jest jedną z porwanych, proszę pana. Zaparło mu dech w piersi, jakby ktoś go uderzył. - Gdzie to się stało? - zapytał. - Jak ją dostali?

Przez twarz oficera przemknął dziwny, napięty uśmiech. - To było w centrum handlowym, w Porter Ranch. Może widział pan w telewizji.

Carmichael potwierdził ruchem głowy. Dziewczynka poderwana olbrzymim giętkim jęzorem, lecąca w powietrzu i wciśnięta do zielonej sakwy. A Cindy?...

- Widział pan tę część, gdy stwory spacerowały sobie, a potem nagle zaczęły chwytac ludzi i wszyscy rzucili się do ucieczki? Wtedy właśnie ją dostali. Była na samym przodzie, gdy zaczęła się łapanka i może nawet udałoby się jej uciec, ale czekała z tym o sekundę za długo. Przypuszczam, że zaczęła uciekać, a potem zatrzymała się, spojrzała za siebie na nich, możliwe, że coś do nich krzyczała... a wtedy... no cóż, wtedy...

- Wtedy ją zgarnęli?

- Niestety, tak.

- Rozumiem - powiedział Carmichael z kamienną twarzą. - Wszyscy świadkowie zgadzają się co do tego, że nie wpadła w panikę, nie wrzeszczała. Okazała wiele odwagi, gdy te potwory ją schwytały. Nie rozumiem, na Boga, jak można zdobyć się na odwagę, gdy coś tak wielkiego trzyma człowieka w powietrzu, ale zapewniam pana, że ci, którzy to widzieli...

- Ja to rozumiem - powiedział Carmichael.

Odwrócił się. Zamknął oczy na chwilę i z trudem głęboko zaczerpnął rozgrzanego, pełnego dymu powietrza.

Jasne, że z miejsca pobiegła tam, gdzie wylądowali. Jeśli był w Los Angeles ktoś, kto chciałby dostać się do Kosmitów, zobaczyć ich na własne oczy, a może przemówić do nich i nawiązać jakiś kontakt, to była to z pewnością Cindy. Nie bałaby się ich. Wydaje się, że nigdy nie bała się niczego. Carmichael łatwo wyobraził ją sobie w spanikowanym tłumie na parkingu, spokojną i promienną, wpatrującą się w gigantycznych Kosmitów, uśmiechającą się do nich cały czas, zanim ją pochwycili. W jakimś sensie był z niej bardzo dumny. Ale przerażało go, gdy pomyślał, że mają ją w niewoli.

- Jest na statku? - zapytał. - Na tym tam z tyłu?

- Tak.
- Czy otrzymano jakąś wiadomość od zakładników albo od Kosmitów?
- Nie mogę ujawnić tej informacji.
- A jest jakaś informacja?
- Przykro mi, ale nie wolno...

- Nie jestem w stanie uwierzyć - powiedział Carmichael że ten statek tylko tam stoi, że nic nie zrobiono, by nawiązać z nimi kontakt...

- Powołano centrum dowodzenia, panie Carmichael, i podejmuje się określone starania. Tyle mogę powiedzieć. Mogę też powiedzieć, że w tę sprawę zaangażował się Waszyngton. Ale na razie więcej nie...

Nadleciał biegiem młodzik wyglądający na harcerzyka. Mike, samolot załadowany i gotów do startu.

- Dobra - powiedział Carmichael. Ten ogień, ten pierdolony ogień! Udało mu się niemal o nim zapomnieć. Niemal. Wahał się chwilę, rozdzierany konfliktem lojalności. Potem powiedział do oficera: - Słuchaj pan, muszę wracać do pożaru. Może pan tu trochę poczekać?

- Hmm...

- Jakies pół godziny. Muszę zrzucić chemikalia. Potem chciałbym, żeby zabrał mnie pan do tego statku i przeprowadził przez kordon, tak bym mógł sam pomówić z tymi stworami. Jeśli ona tam jest, zamierzam ją zabrać.

- Nie wyobrażam sobie, jak mogłoby się to udać..

- No to spróbuj pan sobie wyobrazić - powiedział Carmichael. - Spotkamy się tutaj za pół godziny.

Gdy wzniósł się do góry, od razu zauważył, że ogień się rozszerzył. Wiatr był silniejszy i bardziej porywisty niż poprzednio i wiał teraz ostro z północnego wschodu spychając płomienie w stronę

brzegów Chatsworth. W granice miasta zanosło już sporo rozżarzonego popiołu i Carmichael ujrzał po lewej stronie kilka płonących domów. Będzie ich więcej, pomyślał. Podczas akcji przeciwpożarowej rozwija się w człowieku szósty zmysł, który mówi mu, jak toczy się walka, czy wygrywasz z płomieniami, czy przegrywasz; teraz ten zmysł podpowiedział mu, że cały ten wielki wysiłek kończy się niepowodzeniem, że pożar rozszerza się i że o zmierzchu cała okolica zamieni się w popiół.

Trzymał się mocno, gdy DC-3 wszedł w strefę pożaru. Pod wpływem ognia powietrze rozkołysało się jak szalone i powstały turbulencje o zadziwiającej sile: czuło się, jakby potężna ręka schwyciła samolot za dziób. Helikopter dowódcy odcinka miotał się w górze jak balon na uwięzi.

Carmichael zwrócił się po rozkazy i posłano go na stronę południowo-zachodnią, blisko szeregu domów leżącego na zewnętrznej granicy. Na dole strażacy łopatami przyduszali tryskające z ogródków pęki płomieni. Paliły się płachty zeschniętych liści zwieszających się z pni wyniosłych palm. Psy w okolicy zbiły się w oszalałe stado, uganiające się rozpaczliwie w tę i z powrotem. Pikując w dół, tuż nad czubkami drzew, Carmichael rozpryskał czerwoną ciecz, która pokryła wszystko, co wyglądało na materiał łatwopalny. Kopacze spojrzeli w górę i pomachali mu, a on dał im sygnał skrzydłami i skierował się dalej na północ, dokoła zachodniego brzegu pożaru.

Zauważył, że ogień przesuwa się coraz dalej na zachód, przeskakując głębokimi kanionami w stronę granic Ventura County. Potem poleciał na wschód, wzdłuż podnóża gór Santa Susana, aż po raz drugi zobaczył statek kosmiczny stojący samotnie w kręgu szerniałej ziemi. Wydawało się, że kordon wojskowych pojazdów poszerzył się jeszcze, jakby całą dywizję pancerną rozmieszczono tu w koncentrycznych kręgach, poczynając na jakieś pół mili od statku.

Wpatrywał się usilnie w pojazd Kosmitów, jak gdyby mógł dostrzec poprzez jego błyszczące ściany znajdującą się w środku Cindy.

Wyobraził sobie, jak siedzi przy stole - lub przy czymkolwiek, czego używają Kosmici; siedzi przy stole w towarzystwie siedmiu lub ośmiu olbrzymich istot i spokojnie opowiada im o Ziemi, a potem prosi, by oni opowiedzieli jej o swojej planecie. Był całkowicie pewny, że jest bezpieczna, że nic złego jej się nie stanie, że nie torturują jej i nie kroją na stole sekcyjnym, nie przepuszczają przez nią prądu tylko po to, by zobaczyć, jak na to reaguje. Wiedział, że nic takiego nigdy się Cindy nie przydarzy.

Bał się tylko tego, że jej nie uwolnią i odlecą na swą rodzinną planetę. Przerazenie, jakie wzbudzała w nim ta myśl, było silniejsze od wszystkich poznanych dotąd lęków.

Gdy Carmichael podleciał do miejsca lądowania Kosmitów, ujrzał, jak lufy niektórych czołgów obracają się w jego kierunku. W odbiorniku radiowym rozległ się szorstki głos: - DC-3, zszedłeś z kursu. Wracaj do pożaru. To zamknięta strefa powietrzna.

- Przepraszam - powiedział. - Nie miałem zamiaru. Jednakże gdy rozpoczął skręt, opadł w dół jeszcze niżej, tak że mógł dobrze obejrzeć statek. Jeśli miał iluminatory i Cindy wyglądała przez jeden z nich, chciał, żeby wiedziała, iż jest w pobliżu; że obserwuje, że czeka na jej powrót. Ale powłoka statku była jednolita i ciemna na całej przestrzeni.

Cindy? Cindy?

Pomyślał, że zawsze szukała tego, co dziwne, tajemnicze, niecodzienne.

Ci ludzie, których przyprowadzała do domu: jakiś Nawaj, oszołomiony turecki wycieczkowiec, dzieciak z Nowego Jorku. Ta muzyka, którą grała, i towarzyszące jej inkantacje. Kadzidła, światła, medytacje. - Poszukuję - lubiła mówić. Wciąż próbowała odnaleźć trakt, który poprowadzi ją w to, co jest poza nią. Próbowała stać się kimś innym, niż była. I tak oto zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, nieprawdopodobna para: ona w sandałach i paciorkach, on ze swym poważnym, trzeźwym poglądem na świat. Dawno temu, tego dnia, gdy znalazł się w sklepie płytowym w Studio City, a Bóg tylko jeden wie, co tam robił, podeszła do niego i zapytała o coś, i

zaczęli gadać, i gadali, gadali, gadali przez całą noc; ona chciała się dowiedzieć o nim wszystkiego, co tylko można, a gdy nadszedł świt, byli wciąż ze sobą i od tego czasu rzadko się rozstawali.

Nigdy nie był w stanie zrozumieć, dlaczego go wybrała - ogorzałego, podstarzałego pilota z Doliny - ale wiedział z pewnością, że krył się za tym jakiś rzeczywisty powód, że zaspokajał jakąś jej potrzebę, tak jak ona jego, i w braku lepszego słowa można to było nazwać miłością. Ona także zawsze tego szukała. Któż nie szuka? Wiedział, że kocha go prawdziwie i mocno, choć nigdy nie mógł pojąć dlaczego. Miłość jest zrozumieniem - mawiała. - Zrozumienie jest miłością. - Czy właśnie w tej chwili próbowała mówić Kosmitom o miłości? Cindy, Cindy, Cindy.

Parę minut później na lotnisku Van Nuys wydało mu się, że wszyscy już wiedzą, iż jego żona jest wśród zakładników. Zniknął gdzieś oficer, którego Carmichael poprosił o pozostanie. Nie zdziwiło go to. Przez chwilę myślał o tym, by przedostać się samemu do statku, przedrzeć się przez kordon i zrobić coś, by uwolnić Cindy, ale uświadomił sobie, że to beznadziejnie głupi pomysł. Sprawę przejęło wojsko i nie pozwoli ani jemu, ani komukolwiek podejść do statku bliżej niż na milę, a on tylko wpadnie w sieci telewizyjnych reporterów szukających rozdzierających serca historyjek o rodzinach porwanych osób.

Główny kontroler zszedł na dół i odnalazł go na lotnisku; wyglądał, jakby zaraz gotów był wybuchnąć współczuciem. Pogrzebowym tonem powiedział do Carmichaela, że nic nie szkodzi, jeśli skończy już na dzisiaj i pojedzie do domu, by czekać na to, co się wydarzy. Carmichael odrzucił jednak tę propozycję. - Nie wydam jej stamtąd siedząc w pokoju na kanapie - powiedział. - A ten pożar też nie wygaśnie sam z siebie.

Przepompowanie chemicznej papki do zbiorników DC-3 zajęło obsłudze naziemnej dwadzieścia minut. Carmichael stał przy naczynie popijając colę i spoglądając na odlatujące i przylatujące samoloty. Ludzie gapili się na niego, a ci, którzy go znali, machali doń z daleka; trzech czy czterech pilotów podeszło i w milczeniu uściśnięło mu rękę lub poklepało współczująco po

ramieniu. Czarne od sady niebo na północy stopniowo ku wschodowi i zachodowi przechodziło w szarość. Powietrze było gorące jak w saunie i przeraźliwie suche. Można by, pomyślał Carmichael, podpalić je strzelając palcami. Ktoś przebiegający obok rzucił w pośpiechu, że w Pasadenie, blisko laboratorium lotniczych materiałów pędnych wybuchło nowe ognisko pożaru, a jeszcze inne - w Griffith Park. A więc wiatr zaczął przenosić żagwie. Ktoś powiedział, że płonie stadion Dodger, a ktoś inny - że tor wyścigowy w Santa Anita. Całe to przekłete miejsce pójdzie z dymem, pomyślał Carmichael. A moja żona siedzi w statku kosmicznym z innej planety.

Gdy samolot był już gotowy, poderwał go i spuścił świeży ładunek niemal prosto w twarze strażaków pracujących na peryferiach Chatsworth. Zbyt byli zajęci, by mu pomachać. Aby powrócić na lotnisko, musiał zrobić wielką pętlę za linią ognia: nad wzgórzami Santa Susana aż do odnogi autostrady Golden State. Tym razem ujrzał pożar na wschodzie: dwa potężne skupiska ognia znaczące miejsca, w których strumienie odrzutu z innych statków musnęły wyschlą trawę, oraz kilka mniejszych ognisk na linii od Glendale lub Burbank aż po środek Orange County. Ręce mu się trzęsły, gdy dotknął płyty Van Nuys. Nie spał już od trzydziestu dwóch godzin i czuł, że wkracza w obszar ślepego, białego wyczerpania, który leży daleko poza zwykłym zmęczeniem.

Wysiadł z samolotu. Główny kontroler znów czekał na niego. - Dobra - powiedział z miejsca Carmichael. - Odwalę się na pięć, sześć godzin i przekimam trochę, a potem mogę wracać do...

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Przyszedłem ci to powiedzieć, Mike. Zwolnili niektórych zakładników.

- Cindy?

- Tak sądzę. Samochód z wojsk lotniczych zabierze cię do Sylmar. Założyli tam kwaterę główną.

Kazali cię odnaleźć, jak tylko wrócisz, i tam posłać, żebyś mógł porozmawiać z żoną.

- Więc jest wolna - powiedział Carmichael. - Jezu, jest wolna!

- Idź już, Mike. Chyba przez jakiś czas poradzimy sobie z pożarem bez ciebie.

Samochód wojskowy wyglądał jak generalska limuzyna: długi, niski i błyszczący, z szoferem o kwadratowej twarzy za kierownicą i dwoma młodymi oficerami, z wyglądu twardzielami, na tylnym siedzeniu obok niego. Niewiele mówili i wyglądali na tak znużonych, jak znużony czuł się Carmichael. - Jak się czuje moja żona? - zapytał, a jeden z nich odpowiedział: - Z tego co wiemy, to nie zrobiono jej krzywdy. - Powiedział to w sztywny i osobliwy sposób. Carmichael wzruszył ramionami. Dzieciak, powiedział sobie, obejrzał za dużo starych filmów.

Wydawało się teraz, że całe miasto płonie. W środku klimatyzowanej limuzyny wyczuwało się tylko słabiutki zapach dymu, ale niebo na wschodzie wyglądało przerażająco: smugi czerwieni rozpryskiwały się jak meteory na tle czerni. Carmichael zapytał o to oficera lotnictwa, ale w odpowiedzi usłyszał tylko: - Z tego co wiem, wygląda to fatalnie. - Gdzieś na autostradzie do San Diego, pomiędzy Mission Hills a Sylmar, Carmichael zapadł w sen i odzyskał świadomość dopiero wtedy, gdy zbudzono go łagodnie i wprowadzono do przestronnego, ponurego, przypominającego hangar budynku w pobliżu zbiornika. Był tu cały labirynt przewodów i ekranów, wśród których wojskowy personel obsługiwał chyba z tysiąc komputerów i dziesięć tysięcy telefonów. Dał się wprowadzić do pokoju biurowego w środku; włókł nogi za sobą i poruszał się jak automat ledwie zdolny skupić wzrok na czymkolwiek. W pokoju siwy pułkownik dawał z siebie wszystko, by powitanie wyglądało tak, jak w momencie szczytowego napięcia na filmie.

- Panie Carmichael - powiedział - to może być najtrudniejsze spośród wszystkich pańskich zadań. Carmichael nachmurzył się. W rym przeklętym mieście, pomyślał, wszystko dzieje się jak w Hollywood.

- Powiedziano mi, że uwolniono zakładników - odezwał się. - Gdzie jest moja żona?

Pułkownik wskazał na ekran telewizora. - Zaraz damy panu z nią porozmawiać.

- To znaczy, że się z nią nie zobaczę?

- Nie od razu.

- Dlaczego nie? Dobrze się czuje?

- O ile wiemy - tak.

- Więc nie została zwolniona? Powiedziano mi, że zakładników wypuszczono.

- Pozwolono odejść wszystkim oprócz trojga - powiedział pułkownik. - Dwoje ludzi, zgodnie z tym co mówią Kosmici, doznało obrażeń, gdy ich chwymano, i teraz przechodzą leczenie na pokładzie statku. Trzecią osobą jest pańska żona. Nie chce opuścić statku.

Jakby zapadł się w dziurę powietrzną. - Nie chce?...

- Utrzymuje, że zamierza lecieć ochotniczo na planetę Kosmitów. Twierdzi, że będzie naszym ambasadorem czy też specjalnym wysłannikiem. Panie Carmichael, czy pańskiej żonie zdarzały się w przeszłości przypadki zachwiania równowagi umysłowej?

Carmichael rzucił na niego wściekłe spojrzenie i powiedział: Jest absolutnie normalna. Proszę mi wierzyć.

- Ma pan świadomość faktu, że nie okazała żadnych objawów strachu, gdy tego ranka Kosmici schwytali ją podczas wydarzeń w centrum handlowym?

- Tak, wiem o tym. To nie znaczy, że jest szalona. Owszem - inna. Ma niezwykle pomysły. Ale nie jest szalona. Nawiasem mówiąc - ja też nie. - Przyłożył ręce do twarzy i przycisnął lekko czubki palców do oczu.

- W porządku - powiedział. - Pozwólcie mi z nią pomówić.

- Sądzi pan, że da się ją przekonać, by opuściła ten statek? - Na pewno będę cholernie mocno próbował.

- Nie pochwała pan tego, co ona robi, prawda? - zapytał pułkownik.

Carmichael uniósł wzrok. - Owszem, pochwalam. To inteligentna kobieta, która z własnej i

nieprzymuszonej woli robi to, co uznaje za ważne. Dlaczego, do cholery, miałbym tego nie popierać? Ale zamierzam wybić to jej z głowy i to jeszcze jak. Kocham ją. Pragnę jej. Ktoś inny może zostać tym cholernym ambasadorem na Betelgeuse. Dacie mi z nią pomówić?

Pułkownik skinął dłonią i wielki ekran telewizyjny ożył. Przez chwilę jakiś tajemniczy, kolorowy deseń rozbłyskiwał na nim w denerwujący, przypadkowy sposób; następnie Carmichael ujrzał przelotnie okryte cieniem wiszące kładki, pogmatwaną sieć zastrzałów krzyżujących się co chwilę pod osobliwymi kątami, a potem ukazał się na moment jeden z Kosmitów. Żółte, tackowate oczy patrzyły na niego z błogim samozadowoleniem. Carmichael poczuł, że ocknął się całkowicie. Twarz Kosmity zniknęła i pojawiła się Cindy. W chwili, gdy ją ujrzał, wiedział, że ją utracił. Jej twarz płonęła. Cicha radość w jej oczach bliska była ekstazie. Wiele razy wyglądała podobnie, ale teraz było to coś innego. Tym razem dostąpiła wizji boskiego szczęścia.

- Cindy?

- Cześć, Mike.

- Możesz mi powiedzieć, co się tam w środku dzieje?

- To niewiarygodne. Kontakt, porozumienie.

No tak, pomyślał. Jeśli ktokolwiek mógł nawiązać kontakt z istotami z Kosmosu, to właśnie Cindy. Była w niej jakaś magia: dar otwierania wszystkich zamkniętych drzwi.

- Oni rozmawiają bezpośrednio myślami - powiedziała bez żadnych przeszkód. Przyjechali tu pokojowo, by nas poznać, połączyć się z nami w harmonii, by wprowadzić nas do konfederacji planetarnej.

Zwilżył wargi. - Cindy, co oni ci zrobili? Pranie mózgu czy co?

- Nie! Nic z tych rzeczy! Nic mi nie zrobili, Mike! Po prostu zaczęliśmy rozmawiać.

- Rozmawiać!

- Pokazali mi, jak przylgnąć umysłem do ich umysłów. To nie pranie mózgu. Jestem wciąż sobą,

jestem Cindy. Czuję się dobrze. Czy wyglądam, jakby mnie skrzywdzono? Oni nie są niebezpieczni. Uwierz mi.

- Wiesz, że podpalili pół miasta ogniem odrzutu?

- To ich smuci. To był wypadek. Nie zdawali sobie sprawy, jak sucho jest w górach. Gdyby znaleźli sposób na stłumienie ognia, uczyniliby to, ale pożar jest za duży nawet dla nich. Proszą nas o przebaczenie. Chcą, żeby wszyscy wiedzieli, jak im przykro. - Przerwała na chwilę. Potem bardzo łagodnie powiedziała: Mike, czy przyjdiesz na pokład? Pragnę, byś ich doświadczył tak, jak ja ich doświadczyłam.

- Cindy, nie mogę tego zrobić.

- Oczywiście, że możesz! Każdy może! Po prostu otwierasz swój umysł, oni cię dotykają i...

- Wiem. I nie chcę. Cindy, wychodź stamtąd i jedziemy do domu. Proszę. Proszę. To już trzy dni, nie - teraz cztery... Chcę cię uścisnąć, chcę cię trzymać...

- Możesz mnie objąć tak mocno, jak tylko chcesz. Wpuszczą cię na pokład. Możemy razem pojechać na ich planetę. Wiesz, że zamierzam polecieć do nich?

- Nie masz zamiaru. Naprawdę nie.

Uroczyście skinęła głową. Wyglądała bardzo poważnie. - Odjadą za parę tygodni, jak tylko uzyskają możliwość wymiany darów z Ziemią. Widziałam obrazy ich planety - jak na filmie, tylko że dzięki ich umysłom. Mike, nawet sobie nie wyobrażasz, jaka ona jest piękna! Jak gorąco sobie życzą, bym z nimi pojechała!

Krople potu spływały mu z włosów do oczu; mrugał, ale nie śmiał ich otrzeć: obawiał się, iż pomyśli, że on płacze.

- Cindy, nie chcę polecieć na ich planetę. I nie chcę też, żebyś ty poleciała.

Przez jakiś czas milczała.

Potem uśmiechnęła się subtelnie i powiedziała: - Wiem, Mike.

Zacisnął pięści, rozluźnił je i zacisnął ponownie. - Nie m o g ę tam polecieć.

- Tak. Nie możesz. Rozumiem to. Myślę, że nawet Los Angeles jest dla ciebie zbyt obce. Musisz być w swojej Dolinie, w swoim własnym, rzeczywistym świecie, a nie w drodze ku odległej gwiazdzie. Nie chcę cię namawiać.

- Ale ty i tak polecisz? - zapytał i tak naprawdę nie było to pytanie.

- Przecież wiesz, co zrobię.

- Tak.

- Przykro mi. Ale tak naprawdę, to nie.

- Kochasz mnie? - powiedział i zaraz tego pożałował. Uśmiechnęła się smutno. - Wiesz, że tak. I wiesz, że nie chcę cię opuścić. Ale gdy dotknęli mnie swoim umysłem, gdy ujrzałam, jakie to są istoty - wiesz, o co mi chodzi? Nie muszę tego tłumaczyć, prawda? Ty zawsze mnie rozumiesz.

- Cindy...

- Och, Mike. Tak bardzo cię kocham.

- I ja cię kocham, dziecino. I chcę, żebyś zeszła z tego przeklętego statku.

- Nie proś mnie o to. Bo mnie kochasz. A ja nie będę cię znów prosiła, żebyś przyszedł na pokład, bo naprawdę cię kocham. Rozumiesz to, Mike?

Pragnął sięgnąć za ekran telewizora i ją pochwycić. - Tak, rozumiem - zmusił się do słów.

- Kocham cię, Mike.

- Kocham cię, Cindy.

- Powiedzieli mi, że podróż tam i z powrotem trwa czterdzieści osiem lat, ale dla mnie będzie to jak parę tygodni. Och, Mike! Do widzenia, Mike! Niech cię Bóg błogosławi! - Przesyłała mu pocałunki. Na palcach ujrzał swoje trzy ulubione, wysadzone małymi szafirami pierścienie, które zrobiła, gdy po raz pierwszy zaczęła projektować biżuterię.

Szukał w myślach jakiegoś sposobu, by ją przekonać; jakichś nowych racji, które do niej

przemówią, i nie mógł niczego znaleźć. Czuł, jak rozprzestrzenia się w nim bezmierna pustka, jakby wirująca brzytwa wycinała mu wnętrze. Jej twarz jaśniała. Nagle wydała mu się obca. Wyglądała jak ktoś z Los Angeles, jak jedna z osób zagubionych w fantazjach i mrzonkach; było to tak, jakby nigdy jej nie znał lub jakby udawał, że jest ona kimś innym, niż naprawdę jest. Nie. To nie tak. Ona nie jest takim kimś, to naprawdę Cindy. Jak zwykle podąża za własną gwiazdą.

Nagle nie mógł już dłużej patrzeć na ekran i odwrócił się, zaciskając wargi; poruszył lewą ręką, jakby coś odpychał. Żołnierze lotnictwa mieli zakłopotany wyraz twarzy, jakby mimowolnie podsłuchali kogoś podczas najbardziej intymnych chwil i teraz udawali, że nic nie słyszeli.

- Ona nie jest szalona, pułkowniku - powiedział porywczo Carmichael. - Nie chcę, aby ktoś myślał, że to jakaś wariatka.

- Oczywiście, panie Carmichael.

- Ale ona nie zejdzie z tego statku. Słyszał ją pan. Zostanie na pokładzie i wraca z nimi tam, skąd przylecieli. Nic nie mogę na to poradzić. Nic jej stamtąd nie wyciągnie, chyba że poszedłbym tam i wywlóknę ją siłą. A tego nigdy nie uczynię.

- Naturalnie, że nie. W każdym razie rozumie pan, że nie moglibyśmy pozwolić panu na wejście na statek, nawet gdyby chodziło o wyprowadzenie jej stamtąd.

- No i dobrze - powiedział Carmichael. - Nawet o tym nie marzyłem. O tym, by ją wyprowadzić lub przyłączyć się do niej. Niech leci: było to jej przeznaczone na tym świecie. Ale nie mnie. Nie mnie, pułkowniku. To po prostu nie moja rzecz. - Odetchnął głęboko. Pomyślał, że chyba dygocze.

- Pułkowniku, nie ma pan nic przeciwko temu, że wyniosę się do diabła? Może poczuję się trochę lepiej, jeśli wrócę stąd i zrzucę jeszcze trochę błota na pożar. Sądzę, że mi to pomoże. Tak myślę, pułkowniku. Dobrze? Pułkowniku, odeśle mnie pan z powrotem na Van Nuys?

Wystartował po raz ostatni na DC-3. Chcieli, żeby zrzucił chemikalia wzdłuż zachodniej płaszczyzny ognia, ale zamiast tego poleciał na wschód, w stronę statku, i zatoczył wokół niego

szerokie koło.

Głos przez radio polecił mu opuścić tę strefę, a on odpowiedział, że tak zrobi.

Gdy zakręcał, w boku statku otworzył się właz i pojawił się tam jeden z Kosmitów. Wyglądał potężnie nawet z wysokości, na której znajdował się Carmichael. Ogromny, purpurowy stwór zstąpił ze statku, rozpostarł macki i zdawał się wdychać pełne dymu powietrze.

Carmichael pomyślał mgliście, by zlecieć niżej i zrzucić cały ładunek na tę istotę pogrążając ją w czerwonym błocie i wyrównując rachunek z Kosmitami za to, że zabrali mu Cindy. Potrząsnął głową. To szaleństwo, powiedział sobie. Cindy by zemdliło, gdyby dowiedziała się, że choćby zastanawiał się nad czymś takim. Ale właśnie taki jestem, pomyślał. Pospolity, wstrętny, mściwy Ziemiainin. I to dlatego nie mam zamiaru polecieć na tę obcą planetę; i to dlatego ona poleci.

Zawrócił po łuku nad statkiem i skierował się prosto przez Granada Hills i Northridge na lotnisko Van Nuys. Gdy znalazł się na ziemi, siedział przez długą chwilę nieruchomo za sterami. W końcu jeden z kontrolerów wyszedł i zawołał do niego: "Dobrze się czujesz, Mike?"

- Tak. Doskonale.

- To co ci strzeliło do głowy, żeby nie wrzucić ładunku i wrócić?

Carmichael zerknął na wskaźniki. - Tak zrobiłem? Pewnie naprawdę tak zrobiłem.

- Ty chyba źle się czujesz?

- Myślę, że zapomniałem go wyrzucić. Nie, nie zapomniałem, ale nie chciałem.

- Mike, wyłaź z tego samolotu.

- Nie chciałem go wyrzucić - powtórzył Carmichael. - Po co, do diabła; się tym przejmować? To zwariowane miasto - i tak nie zostało tu nic, co chciałbym ocalić. - W końcu opuściło go panowanie nad sobą i wściekłość zawładnęła nim jak ogień wspinający się po zboczach wyschłego kanionu. Rozumiał to, co ona robi, i uszanował to, ale nie musiało mu się to podobać. W ogóle mu się to nie podobało. Stracił Cindy i czuł, że przegrał wojnę, którą toczył z Los Angeles. - Chuj mu

w dupę - powiedział. - Niech płonie. To obłąkane miasto. Zawsze go nienawidziłem. Zasługuje na ten los. Byłem tu tylko dla niej. Tylko ona się liczyła. A teraz odlatuje. Niech płonie to pierdolone miasto.

Kontroler wytrzeszczył na niego zdumione oczy. - Mike... Carmichael poruszył wolno głową z boku na bok, jakby próbował strząsnąć z niej potworny ból. Potem nachmurzył się. Nie, nie mam racji - powiedział. - Tak czy owak, musisz wykonać swoją robotę, prawda? Nieważne, jak się czujesz. Musisz ocalić, co się da. Słuchaj, Tim, polecę jeszcze raz z ładunkiem. Słyszysz mnie? A potem pojedę do domu i trochę się prześpię.

Dobra? W porządku? - Ruszył samolotem po krótkim pasie startowym. Mętnie uświadomił sobie, że nie otrzymał pozwolenia na start. Mała Cessna, samolot obserwacyjny, rozpaczliwie usuwała mu się z drogi, a potem już leciał. Niebo było czarne i czerwone. Ognia nie powstrzymano i prawdopodobnie był już nie do powstrzymania. Jednak trzeba wciąż próbować, pomyślał. Trzeba ocalić, co się da. Nacisnął gaz i ruszył naprzód, lecąc spokojnie w piekło u podnóża gór, aż wściekły prąd termiczny schwycił go z dołu za skrzydła, uniósł i miotał jak zabawką prześlizgującą się nad szczytem, a potem posłał go uderzeniem w stronę oczekujących na północy gór.

Tak mówi Pan: Oto, Ja wzbudzę przeciwko Babilonowi i przeciwko tym, którzy mieszkają w pośród powstawających przeciwko mnie, wiatr zaraźliwy.

I poślę na Babilon przewiewaczy, którzy przewiewać go będą i wypróżnią ziemię jego, gdyż będą przeciwko niemu zewsząd w dniu ucisku.

Proroctwo Jeremiasza 51,1,2

Opowieść Łaskawcy

- Klucz szesnasty, Osiedle Omikron Kappa, Alef zero jeden - powiedziałem do programu odzwiernego przy Bramie Alhambra w Murze Los Angeles.

Na ogół programy nie są podejrzliwe. Ten nie był nawet szczególnie zmyślny. Pracował na paru

dużych biochipach - czułem, jak pulsują i wywijają hołubce, gdy przepływa przez nie strumień elektronów - ale oprogramowanie było głupie jak trep. Typowy bramkarz.

Stałem czekając, a pikosekundy upływały całymi milionami.

- Proszę podać nazwisko - odezwał się w końcu bramkarz.

- John Doe. Beta Pi Epsilon, sto cztery, trzysta dziewięćdziesiąt cztery, X.

Brama otworzyła się i wmaszerowałem do Los Angeles.

Tak łatwo jak Beta Pi.

Mur otaczający Los Angeles ma grubość trzydziestu, czterdziestu metrów. Bramy bardziej przypominają tunele. Jeśli weźmiecie pod uwagę, że mur biegnie wokół całej kotliny Los Angeles, od doliny San Gabriel do doliny San Fernando, a potem przez góry do wybrzeża i z powrotem przez całą Long Beach; że ma przynajmniej dwadzieścia metrów wysokości i tyle samo w głąb ziemi, łatwiej wam będzie zdać sobie sprawę z jego łącznej masy. I pomyślcie o niesłychanym zużyciu ludzkiej energii przeznaczonej na jego wybudowanie: ...pot i mięśnie, mięśnie i pot.

Sporo o tym rozmyślałem.

Sądzę, że mury postawiono wokół naszych miast przede wszystkim jako symbole. Uwidaczniają różnicę między miastem a wsią, obywatelem i poddanym, ładem i chaosem, tak jak mury miejskie pięć tysięcy lat temu. Ale ich podstawowym zadaniem jest przypominanie nam, że dziś wszyscy jesteśmy niewolnikami. Nie można ignorować murów. Nie można udawać, że ich tu nie ma.

Kazaliśmy wam nas zbudować, mówią nam one, i nigdy o tym nie zapominajcie. Mimo wszystko, Chicago nie ma muru wysokości dwudziestu i grubości czterdziestu metrów. Houston też. I Phoenix. Wystarczają im mniejsze. Ale Los Angeles to miasto główne. Myślę, że Mur Los Angeles oznajmia: Patrzcie, jaka ze mnie szych. Jestem, Który Jestem.

Mury wzniesiono nie dlatego, że Istoty obawiają się ataku. One wiedzą, że są niedosiężne. My też o tym wiemy. Po prostu zechciały ozdobić swoją stolicę czymś wyjątkowym. Do cholery, to nie ich

pot wsiąkł w budowlę muru. To nasz. Jasne, nie mój osobiście. Ale jednak nasz.

Ujrzałem parę Istot przechadzających się wewnątrz muru, zaprząniętych, jak zwykle, nie wiadomo czym i nie zwracających uwagi na ludzkie osobniki w pobliżu. Istoty należały do podrzędnej kasty, tej z jarzącymi się pomarańczowymi kropkami po bokach. Obszedłem je z daleka. Czasami przychodził im do głowy pomysł, by poderwać w górę człowieka swoim długim, giętkim jęzorem - niczym żaba chwytająca muchę - i trzymać go dyndającego w powietrzu, przypatrując mu się badawczo wielkimi jak półmiski, żółtymi oczyma. Nie przepadam za tym. Nic złego ci się nie stanie, ale nie jest przyjemnie, gdy majta tobą w powietrzu coś, co przypomina pięciometrową purpurową kałamarnicę stojącą na czubkach macek. Dawno temu przytrafiło mi się to w St. Louis i nie śpieszę się do powtórki.

Znalazłszy się w Los Angeles zająłem się przede wszystkim zorganizowaniem samochodu. Dwie przecznice od muru, na Valley Boulevard ujrzałem Toshibę El Dorado z trzydziestego pierwszego roku, która przy padła mi do gustu; dostroiłem częstotliwość do zamka, wślizgnąłem się do środka i w ciągu dziewięćdziesięciu sekund przeprogramowałem układ sterowniczy dostosowując go do własnej charakterystyki metabolicznej. Poprzednia właścicielka musiała być gruba niczym hipopotam i prawdopodobnie chorowała na cukrzycę. Jej wskaźnik glikogenu był absurdalnie wysoki, a fosforowodorów - wprost wyuzdany.

Niezły samochód: nieco powolny na zakrętach, ale czegoż można się było spodziewać zważywszy, że ostatnie auta na tej planecie wyprodukowano w 2034 roku?

- Pershing Square - poleciałem mechanizmowi.

Miał przyzwoitą pojemność, jakieś sześćdziesiąt megabajtów. Skierował się prosto na południe, znalazł starą drogę przelotową i pojechał do śródmieścia. Zaplanowałem sobie, że otworzę kramik w samym centrum, zrobię dwie lub trzy łaski, żeby nie wyjść z wprawy, wezmę pokój w hotelu, zjem coś, może wynajmę kogoś do towarzystwa. Była zima, właściwy czas na pobyt w Los

Angeles. Żłociste słońce, ciepłe podmuchy wiatru napływające z kanionów.

Od lat nie byłem na Wybrzeżu. Pracowałem przede wszystkim na Florydzie, w Teksasie, niekiedy w Arizonie. Nie odwiedzałem Los Angeles od trzydziestego szóstego. Długo mnie tu nie było, ale może postępowałem tak rozmyślnie. Nie jestem pewien. Ostatnia podróż do L.A. pozostawiła niemiłe wspomnienia. O kobiecie, która chciała łaski, a ja podrzuciłem jej fałszywkę. Od czasu do czasu trzeba wcisnąć fałszywkę klientowi, bo inaczej zaczynasz sprawiać wrażenie, że działasz za dobrze, a to może być niebezpieczne. Ale ona była młoda, śliczna, przepelniona nadzieją, a ja mogłem wmulić kit komuś innemu, tylko że tego nie zrobiłem. Czasami rozmyślając o tym czuję się nieszczególnie. Może to właśnie trzymało mnie z dala od Los Angeles przez cały ten czas.

Parę kilometrów na wschód od dużego śródmiejskiego węzła drogowego sznur samochodów zaczął zawracać. Może zdarzył się tam wypadek drogowy, może zablokowano szosę. Poleciałem Toshibie, by zjechała z autostrady.

Prześlizgując się przez blokadę trzeba się nieźle napracować i można najeść się strachu.

Wiedziałem, że prawdopodobnie zdołam wystrychnąć na dudka każde oprogramowanie blokady, a z pewnością każdego gliniarza-człowieka, ale po co zawracać sobie tym głowę, jeśli się nie musi? Zapytałem samochód, gdzie się znajduje.

Zapalił się ekran. ALAMEDA PRZY BANNING - padła odpowiedź. Spory kawałek drogi piechotą do Pershing Square. Kazałem, by samochód podrzucił mnie na Spring Street. - Zabierz mnie o szóstej trzydzieści - poleciałem. - Róg Szóstej i Hill. - Odjechał, by się zaparkować, a ja ruszyłem na plac rozproszyc parę łask.

Dobremu łaskawcy nietrudno znaleźć nabywców. Mają to w oczach: zduszony gniew, tłącą się urazę. I coś jeszcze, coś nieuchwytnego, niejasne wrażenie, że pozostały w człowieku jakieś okruchy wewnętrznej prawości, które oznajmniają z miejsca: oto ktoś, kto gotów jest wiele

zaryzykować, by odzyskać nieco wolności. Rozkręciłem interes w ciągu piętnastu minut.

Pierwszy trafił mi się podstarzały surfigowiec: wysoko sklepiona klatka piersiowa i cera spłowiała od słońca. Od dziesięciu, piętnastu lat Istoty nie pozwalały na surfing - rozciągnęły sieci do połowu planktonu na wodach przybrzeżnych od Santa Barbara do San Diego i łykały tam niezbędny im morski pokarm, a każdy plażowicz, który by próbował tam pohasać na fali, zostałby natychmiast przeżuty na miazgę. Jednak ten facet za swych dobrych dni musiał być pierwsza klasa. Widać było, jak kiedyś dawał sobie radę w wodzie, po jego kroku, gdy szedł przez park, balansując lekko, jakby chciał zrównoważyć nieregularne obroty Ziemi. Usiadł obok mnie i zaczął zajadać swój lunch. Grube przedramiona, sękaty ręce. Robotnik przy murze. Mięśnie zawężliły się na szczękach: kipiała w nim wściekłość wstrzymywana na moment przed wybuchem.

Po chwili wyciągnąłem go na słówka. Tak, surfigowiec. Nieprzytomne i zagubione spojrzenie. Wzdychając zaczął mi opowiadać o legendarnych plażach z falami jak dętki napompowane od końca do końca. - Trestle Beach - wymruczał. - To na północ od San Onofre. Trzeba było prześlizgnąć się koło obozu w Pendleton. Czasami żołnierze piechoty morskiej otwierali ogień, takie strzały ostrzegawcze. Albo Holister Ranch. W górę, przy Santa Barbara. - Niebieskie oczy zamgliły się. - Huntington Beach. Oxnard. Człowieku, byłem tam wszędzie. - Zgiął grube palce. - A teraz te pieprzone platfusy mają plaże na własność. Uwierzysz w to? Na własność. A ja zapycham przy murze, już po raz drugi, siedem dni w tygodniu, przez następne dziesięć lat. - Dziesięć? - powiedziałem. - Wpadłeś w gówno po uszy. - Znasz kogoś, kto nie siedzi w gównie? - Są tacy - oświadczyłem. - Wykupują się. - Uhm. - Da się to załatwić.

Ostrożne spojrzenie. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie jest borgmanem. Wszędzie kręcą się ci

śmierdzący kolaboranci.

- Naprawdę?

- Trzeba tylko forsy - powiedziałem.

- I łaskawcy.

- Właśnie.

- Takiego, któremu można zaufać.

Wzruszyłem ramionami. - W tym interesie, chłopie, musisz uwierzyć na słowo.

- Taa - powiedział. I po chwili: - Słyszałem o jednym facecie; wykupił trzyletnią łaskę i gratis przepustkę za mur. Pojechał na północ, załapał się na trawler do połowu kryła, wylądował w Australii na Wielkiej Rafie Koralowej. Nikt go tam nie znajdzie. Jest poza systemem. Całkiem poza tym pierdolonym systemem. Jak myślisz, ile by to kosztowało?

- Jakieś dwadzieścia kawałków - powiedziałem.

- E, aleś to sobie wymyślił.

- Nie wymyśliłem.

- Aha? - Jeszcze jedno czujne spojrzenie. - Nie wyglądasz na miejscowego.

- Bo nie jestem. Przyjechałem z wizytą.

- Cena wciąż taka? Dwadzieścia kawałków?

- Nie dam rady załatwić ci kryl-trawlera. Gdy znajdziesz się za murem, możesz liczyć tylko na siebie.

- Dwadzieścia kawałków za przejście przez mur?

- I zwolnienie od pracy na siedem lat.

- Dostałem dziesięć - powiedział.

- Nie mogę zrobić ci dziesięciu. To nie pasuje do konfiguracji, kapujesz? Ale siedem wystarczy.

Przez siedem lat zajedziesz tak daleko, że się im zgubisz. Cholera, mógłbyś sam dopłynąć do

Australii. Przyczaisz się poniżej Sydney, nie ma tam sieci.

- Dużo wiesz.

- To moja praca - oświadczyłem. - Chcesz, żebym sprawdził twoje aktywa?

- Wart jestem siedemnaście pięćset. Tysiąc pięćset w gotówce, reszta w listach zastawnych. Co mogę dostać za siedemnaście pięćset?

- To co powiedziałem. Przejście przez mur i zwolnienie na siedem lat.

- Hej, udzielasz rabatu?

- Biorę tyle, ile mogę wziąć - powiedziałem. - Daj nadgarstek. I nie przejmuj się. Teraz tylko odczytam stan konta. Wymodulowałem jego wszczep informatyczny i podłączyłem do niego własny. Miał tysiąc pięćset w banku i listy zastawne wartości szesnastu patyków, dokładnie tak, jak twierdził. Obrzuciliśmy się ostrożnie wzrokiem. Jak już powiedziałem, nigdy nie wiadomo, kto jest borgmannem.

- Możesz to zrobić tak tutaj, w parku? - zapytał.

- Zgadłeś. Odchył się do tyłu, zamknij oczy, jakbyś drzemał w słońcu. Umawiamy się, że teraz biorę tysiąc w gotówce, a ty przelewasz na mnie pięć tysięcy z zastawu, zwykła transakcja wymienna pracy na obligacje. Gdy przejdiesz przez mur, pobiorę resztę w gotówce plus pięć patyków jako zabezpieczenie kredytu. Resztę będziesz spłacał po trzy kawałki rocznie plus odsetki, niezależnie od tego, gdzie będziesz się znajdował. Przewidziałem kwartalne spłaty. Zaprogramuję to wszystko łącznie z brzęczykiem przypominającym o terminach płatności. Pamiętaj, że sprawa podróży zależy wyłącznie od ciebie. Mogę załatwić łaskę i przepustki, ale nie jestem jakimś cholernym agentem biura podróży. Pasuje?

Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

- Zasuwasz - powiedział.

Tę robotę miałem w koniuszkach palców, zwykła emulacja obwodów, mój standardowy numer.

Podjąłem jego wszystkie kody identyfikacyjne, przeniósłem je do centrali, odnalazłem zapisy. Wyglądały na autentyczne - było tak, jak powiedział. No i jasne, że przywalono mu bombowy podatek w naturze: dziesięć lat pracy przy murze. Wczytałem mu ułaskawienie ważne przez siedem pierwszych lat. Musiałem zostawić trzy z powodów czysto technicznych, ale wtedy komputery nie będą już mogły go odszukać. Dałem mu też przepustkę, co oznaczało wczytanie nowych kwalifikacji zawodowych: programisty trzeciej klasy. Nie myślał jak programista i nie wyglądał na programistę, ale oprogramowanie muru się w tym nie połapie. Uczyniłem go teraz członkiem ludzkiej elity, tej względnie nielicznej garstki, która może wjeżdżać i wyjeżdżać z naszych obwałowanych miast, gdy przyjdzie jej na to ochota. VL' zamian za te drobne przysługi przepisałem na swoje liczne konta jego oszczędności całego życia, płatne, jak ustaliliśmy, po części teraz, po części później. Nie miał już ani grosza, ale był wolnym człowiekiem. To nie taki zły interes.

Aha, ta łaska była ważna. Postanowiłem nie robić fałszywek podczas pobytu w Los Angeles. Powiedzmy, że to rodzaj sentymentalnej pokuty za to, co uczyniłem tej kobiecie tyle lat temu. Rozumiecie: od czasu do czasu trzeba koniecznie podrzucić fałszywkę, aby nie wyglądało, że jesteś za dobry; aby nie dać Istotom powodu do zwołania obławy. Tak samo trzeba ograniczać liczbę wydawanych ułaskawień. Jasne, że w ogóle nie musiałem wypisywać łask. Mógłbym upoważnić system do wypłacania mi rokrocznie jakiejś kwoty - pięćdziesięciu, stu patyków - i pobierać je zawsze z łatwością. Ale nie byłoby w tym żadnego wyzwania.

Tak więc wypisuję łaski, ale nie więcej niż trzeba na pokrycie moich wydatków, i rozmyślnie niektóre z nich partaczę, żeby wyglądać na równie nieudolnego, co reszta, tak że Istoty nie mają powodu, by śledzić cechy identyfikacyjne mojej roboty. Sumienie mnie od tego za bardzo nie bolało. Poza wszystkim to kwestia przeżycia. A przecież wiecie, że większość pozostałych łaskawców to zwykli oszuści. Ze mną macie przynajmniej jakąś szansę, że dostaniecie to, za coście

zapłacili.

Następna była drobna Japonka, klasyczny typ: gładka, krucha, jak laleczka. Szlochała nagłymi, potężnymi zrywami, które mogłyby przełamać ją na pół, a starszy siwy mężczyzna - zapewne jej dziadek - starał się ją pocieszyć. Płacz na widoku publicznym jest zawsze dobrym wskaźnikiem kłopotów z Istotami. - Czy mogę w czymś pomóc? - zapytałem, ale oboje byli tak oszołomieni, że nie przyszło im do głowy żadne podejrzenie.

Był jej teściem, nie dziadkiem. Męża zabili przed rokiem dwaj włamywacze. Miała dwoje małych dzieci. Właśnie otrzymała nowe skierowanie podatkowo-pracownicze. Obawiała się, że chcą ją posłać do pracy przy murze, co oczywiście było mało prawdopodobne: przydziałów dokonywano zupełnie przypadkowo, ale zazwyczaj nie bezmyślnie. Jaki pożytek byłby z kobiety o wadze czterdziestu kilo przy zwózce kamiennych bloków? Teść miał paru dobrze poinformowanych przyjaciół, którym udało się odcyfrować ukryty kod na jej skierowaniu. Nie, komputery nie posłały jej za mur. Wysłały do Regionu nr 5. I zaklasyfikowały na TND.

- Mur byłby lepszy - powiedział stary mężczyzna. - Od razu zobaczyliby, że nie ma sił do ciężkiej pracy i znaleźliby coś innego, coś, czemu by podołała. Ale Piątka? Czy ktoś kiedyś stamtąd powrócił?

- Wie pan, co to jest Piątka? - zapytałem.

- Ośrodek eksperymentów medycznych. A ten znak tutaj to TND. Wiem też, co to oznacza.

Znów zaczęła jęczeć. Nie mogłem jej za to winić. TND oznacza Test Na Destrukcję. Istoty chcą się dowiedzieć, jak ciężko możemy naprawdę pracować, a da się to wiarygodnie ustalić jedynie poddając nas testom wskazującym, gdzie leży bariera sił fizycznych.

- Umrę - zawodziła. - Moje maleństwa! Moje maleństwa!

- Wie pan, kto to jest łaskawca? - zapytałem jej teścia.

Nagły, podniecony odzew: gwałtowne zaczerpnięcie tchu, blask w oczach, porywcze skinienie

głową. I równie szybko podniecenie opadło ustępując miejsca zubożeniu, beznadziei, rozpacz.

- To wszystko oszuści - powiedział.

- Nie wszyscy.

- A skąd można wiedzieć? Zabierają pieniądze, nie dają nic w zamian.

- Wie pan, że to nieprawda. Każdy może opowiedzieć o łaskach, które zadziały.

- Może. Może - powiedział stary mężczyzna. Kobieta łkała cicho. - Zna pan kogoś takiego?

- Za trzy tysiące dolarów - powiedziałem - mogę skasować TND na jej skierowaniu. Za dodatkowe pięć mogę wypisać jej zwolnienie od służby ważne do czasu, gdy dzieci znajdą się na uczelni.

Ale ze mnie sentymentalny facet. Pięćdziesięcioprocentowa zniżka i nawet nie sprawdziłem stanu konta. Na ile mogłem sądzić, jej teść był milionerem. Jednak nie. Gdyby tak było, nie siedziałby na Pershing Square, tylko latał załatwiając jej łaskę.

Obrzucił mnie długim, głębokim, szacującym spojrzeniem. Chłopska przebiegłość dawała znać o sobie.

Mogłem mu powiedzieć, że jestem królem w moim zawodzie, najlepszym ze wszystkich łaskawców, genialnym pajęczarzem obdarzonym magicznym wyczuciem; nie wymyślono jeszcze takiego komputera, do którego nie mógłbym się wślizgnąć i kazać mu tańczyć, jak zagram. A byłaby to sama prawda. Ale powiedziałem tylko, że musi zdecydować, że nie mogę przedstawić żadnego zaświadczenia i żadnej gwarancji; że jeśli chce, może się do mnie zwrócić, a jeśli nie, to jest mi wszystko jedno, czy ta kobieta wybierze skierowanie z TND. Odeszli i naradzali się parę minut. Gdy wrócili, w milczeniu podwinął rękaw i podsunął mi wszczep. Sprawdziłem saldo bankowe: całkiem nieźle, około trzydziestu patyków. Przeniosłem z tego osiem tysięcy na moje konto: połowę do Seattle, resztę do Los Angeles. Potem ująłem jej nadgarstek - był cienki jak moje dwa złożone palce - włączyłem się w jej wszczep i wczytałem ułaskawienie, które ocali jej życie.

Na wszelki wypadek dwukrotnie sprawdziłem jego ważność. Zawsze istnieje możliwość, że nieumyślnie okantuje się klienta, choć mnie się to nigdy nie przydarzyło. Ale nie chciałem, żeby po raz pierwszy nastąpiło to przy tej sprawie.

- Idźcie - powiedziałem. - Do domu. Pani dzieciaki czekają na obiad.

Jej oczy rozjarzyły się. - Jeśli można jakoś się panu odwdzięczyć...

- Pobrałem już swoją należność. Jeśli kiedyś mnie pani jeszcze spotka, proszę się ze mną nie witać.

- To zadziała? - zapytał stary człowiek.

- Powiedział pan, że ma pan przyjaciół, którzy znają się na rzeczy. Proszę poczekać tydzień, potem zawiadomić bank danych, że ona zgubiła skierowanie. Gdy dostanie nowe, niech pan poprosi kumpli, by je odszyfrowali. Zobaczysz pan. Wszystko będzie w porządku.

Nie sądzę, by mi uwierzył. Myślę, że był prawie pewien, iż go wykantowałem pozbawiając jednej czwartej oszczędności całego życia, i mogłem dostrzec w jego oczach nienawiść. Ale to jego sprawa. Za tydzień odkryje, że naprawdę ocaliłem życie jego synowej, i wtedy pośpieszy na plac, by mi powiedzieć, jak mu przykro, że żywił do mnie takie brzydkie uczucia. Tylko, że wtedy będę gdzie indziej, daleko stąd.

Powlekli się na wschodni kraniec parku zatrzymując się parę razy, by zerknąć na mnie przez ramię, jakby sądzili, że przemienię ich w słupy soli, gdy obrócą się do mnie plecami. Potem odeszli.

Zarobiłem tyle, że wystarczyło mi na tydzień pobytu zaplanowanego w L.A. Ale kręciłem się tu nadal mając nadzieję na trochę więcej. To był mój błąd.

Trafił mi się Pan Niewidzialny, typ człowieka, na którego nigdy nie zwraca się uwagi, szarość na tle szarości, rzadziejące włosy, przeciętny, słodki, ugrzeczniony uśmiech. Ale w jego oczach paliło się światło. Zapomniałem, czy to on pierwszy zaczął ze mną rozmawiać, czy ja z nim, ale wkrótce

kołowaliśmy próbując dowiedzieć się czegoś o sobie. Powiedział mi, że mieszka w Silver Lake. Spojrzałem na niego obojętnie. Skąd do diabła mam znać miliony miasteczek sąsiadujących z L.A.? Powiedział, że przyjechał tutaj zobaczyć się z kimś w wielkiej siedzibie rządowej na Figueroa Street. W porządku: prawdopodobnie jakaś sprawa odwoławcza. Wyczułem klienta. Potem chciał się dowiedzieć, skąd jestem. Santa Monica? Zachodnie L.A.? Coś w moim akcencie, tak przypuszczam. - Sporo podróżuję - powiedziałem. - Nie znoszę przebywania w jednym miejscu. - Też prawda. Muszę pajęczyć, bo zwariuję.

Gdybym pajęczył w jednym mieście, napraszałbym się dosłownie, by wcześniej lub później wpadli na mój trop, a to byłby koniec. Nic z tego mu nie powiedziałem. - Przyjechałem z Utah zeszłej nocy. Przedtem byłem w Wyoming. - Kłamstwo, jedno i drugie. - Może potem pojedę do Nowego Jorku. - Spojrzał na mnie, jakbym planował podróż na Księżyc. Tutejsi mieszkańcy nie jeżdżą często na Wschód. W dzisiejszych czasach większość ludzi nigdzie nie jeździ.

Teraz wiedział, że mam prawo przekraczania murów albo jakiś sposób, żeby je uzyskać, jeśli zechcę. W jednej chwili przeszliśmy do rzeczy.

Powiedział, że wyciągnął nowe skierowanie, sześć lat przy melioracji na słonych polach Mono Lake. Ludzie mrą tam jak jętki jednodniówki. Chciał, żeby go przenieść na jakieś dogodniejsze miejsce, na przykład Obsługa i Zaopatrzenie, i koniecznie wewnątrz murów, najlepiej w jednym z regionów położonych niedaleko oceanu, z czystym i chłodnym powietrzem. Wymieniłem cenę i zgodził się na nią bez mrugnięcia.

- Daj pan nadgarstek - powiedziałem.

Wyciągnął prawą rękę, wnętrzem dłoni do góry. Zamontowane w zwykłym miejscu wejście do wszczepu miało kształt bladożółtej tarczki, nieco bardziej zaokrąglonej niż zwykły typ i o trochę gładszej fakturze. Nie wydawało mi się to istotne. Tak jak czyniłem to już może tysiąc razy, położyłem ramię na jego ramieniu, nadgarstek przy nadgarstku, wejście przy wejściu. Nasze

biokomputery nawiązały kontakt i natychmiast zorientowałem się, że wpadłem w kłopoty. Od około czterdziestu lat czy coś koło tego - w każdym razie na długo przed inwazją Istot - ludzie żyją z wbudowanymi w ich ciała komputerami pracującymi na biochipach, ale dla większości z nich to coś zupełnie pospolitego, jak blizna po szczepieniu. Używają ich do spraw, do których je skonstruowano, i więcej o nich nie myślą. Biokomputery są dla nich zwykłym narzędziem jak widły czy łopata. Trzeba mieć mentalność pajęczarza, by chcieć uczynić z własnego biokomputera coś więcej. To dlatego, gdy Istoty się pojawiły, zapanowały nad nami i kazały nam budować mury wokół naszych miast, większość ludzi zareagowała jak owce pozwalając zgromadzić się w stadach w zagrodzie i potulnie tam pozostając. Tylko my, pajęczarze, możemy się teraz poruszać swobodnie, ponieważ wiemy, jak manipulować systemami, poprzez które rządzą nami Istoty. I nie ma nas wielu. Natychmiast stwierdziłem, że wpadłem na jednego z nich.

Z chwilą, w której nawiązaliśmy kontakt, ruszył na mnie jak burza.

Po sile jego sygnału poznałem, że natrafiłem na coś wyjątkowego i znajduję się pod gradem ciosów. W ogóle nie chciał kupić łaski. Dążył do pojedynku - macko skryty za słodkim uśmiechem, rad pokazać nowemu przybyszowi w mieście parę swoich sztuczek.

Żaden pajęczarz nigdy mnie nie pokonał, nie w sytuacji jeden na jednego. Nigdy. Żał mi go było, ale tylko trochę.

Wystrzelił do mnie wiązką śmiecia, szyfrem, ale łatwym, tylko po to, by wykryć moje parametry. Przejąłem ją, wprowadziłem do pamięci i założyłem mu przerwanie odbierając inicjatywę w dialogu. Moja kolej, by poddać go próbie. Chciałem, by zaczął się domyślać, na kogo się wpakował. Ale gdy tylko zacząłem wykonywać program, on założył mi przerwanie. Było to dla mnie nowe doświadczenie. Spojrzałem na niego z pewnym szacunkiem.

Zazwyczaj każdy pajęczarz, obojętnie w jakim miejscu, rozpozna mój sygnał już po trzydziestu

sekundach i to wystarczy, by zakończyć wymianę. Wie, że nie ma co grać dalej. Ale ten gość albo nie umiał mnie zidentyfikować, albo go to po prostu nie obchodziło i oddał mi cios własnym przerwaniem. Zadziwiająca. Zadziwiający był też towar, którym zaczął mnie zarzucać. Zabrał się z miejsca do dzieła, naprawdę próbował rozbić moją strukturę. Stosy śmiecia napływały na mnie ciężkimi falami megabajtów.

JSPIKE.ABLTAG.DZCNT.

Odrzuciłem to ku niemu z podwójną siłą.

MAXFRG.MINPAU.SPKTOT.JSPIKE.

W ogóle się tym nie przejął.

MAXDZ.SKPTIM.FALTER.NSLICE.

FRQSLM.EBURST.

IBURST

PREBST

NOBRST

Typowy pat. Pajęczarz wciąż się uśmiechał. Na czole ani kropli potu. Było w nim coś niesamowitego, coś nowego i dziwnego. To jakiś pajęczarz-borgmann, uświadomiłem sobie nagle.

Musi pracować dla Istot wałęsających się po ulicach, próbując napytać biedy wolnym strzelcom, takim jak ja. Niezależnie od tego, jak był dobry, a był naprawdę dobry - pogardzałem nim.

Pajęczarz, który został borgmannem - to naprawdę obrzydliwe. Chciałem doprowadzić go do zwarcia. Chciałem go spalić. Nigdy w życiu nikogo tak nie nienawidziłem.

Nic nie mogłem mu zrobić.

Zbito mnie z pantayku. Byłem Królem Danych, Supermanem Megabajtów. Przez całe życie unosiłem się to tu, to tam, na powierzchni świata zakutego w kajdany, otwierając każdy zamek na swej drodze. A teraz ten Nikt wiązał mnie w supły. Parował każdy mój cios, a to, co od niego

wracało, stawało się coraz dziwniejsze. Pracował według algorytmu, którego przedtem nigdy nie spotkałem, i miałem poważne problemy z jego rozwiązaniem. Po jakimś czasie nie mogłem nawet ocenić, co on ze mną wyprawia, nie mówiąc już o tym, co ja mam zrobić, by to skasować. Niemal nie byłem w stanie wykonać programu. Nieubłaganie wypłukiwał mnie do czysta.

- Kim jesteś? - zawyłem.

Roześmiał mi się prosto w twarz.

I wciąż mnie tym zalewał. Zagroził integralności mego wszczepu, schodził na poziom mikrokosmiczny atakując nawet molekuły. Grzebał w powłokach elektronowych, odwracał ładunki, paskudził w wartościowościach, tkął mi coś w bramki elektronowe, rozwadniał obwody. Komputer, który wszczepiono mi w mózg, to tylko kupa chemii organicznej. Tak samo mózg. Jeśli będzie ciągnął to dalej, najpierw wysiądzie komputer, potem mózg i resztę życia spędzę w wariatkowie.

To nie była sportowa rywalizacja. To było morderstwo.

Sięgnąłem do rezerw wznosząc zarazem wszelkie ochronne blokady, jakie byłem w stanie wymyślić. Rzeczy, których nigdy w życiu nie musiałem używać, ale były na podorędziu, gdy ich potrzebowałem, i to go spowolniło. Przez chwilę mogłem powstrzymać jego miażdżący napór, a nawet go odepchnąć - i uzyskałem wolną przestrzeń, by zmontować parę własnych kombinacji ofensywnych. Ale nim zdążyłem puścić je w ruch, zamknął mnie ponownie i raz za razem zaczął mnie ciągnąć ku Zagładzie. Był niewiarygodny.

Zablokowałem go. Znów powrócił. Uderzyłem go mocno, a on odbił cios kierując go w inne kanały neuronowe, gdzie utknął jak w wacie.

Uderzyłem go jeszcze raz. I znów zablokował cios.

Potem on uderzył we mnie, a ja poleciałem chwiejąc się i zataczając; udało mi się zebrać w sobie, gdy znalazłem się o trzy nanosekundy od skraju przepaści.

Zacząłem układać norą kombinację. Ale robiąc to odczytywałem ton jego danych i docierało do mnie absolutne, zimne przeadcznienie. Czekał na mnie. Był gotów na wszystko, co mogłem przeciw niemu skierować. Przekroczył nawet zwykłą ufność wnosząc się ku całkowitej pewności. W końcu sprowadzało się to do tego: byłem w stanie powstrzymać go przed zniszczeniem mnie, ale tylko ostatkiem sił, i w ogóle nie mogłem się do niego dobrać. A wydawało się, że on może czerpać z nieograniczonych zasobów. Nie byłem dla niego problemem. Nic go nie mogło zmęczyć. Wydawało się, że się w ogóle nie zużywa. Przejmował wszystko, co mogłem z siebie dać, i ciągle zarzucał mnie świeżym śmieciem, zachodząc z sześciu stron na raz.

Po raz pierwszy zrozumiałem teraz, co musieli odczuwać ci wszyscy pajęczarze, których pokonałem. Niektórzy z nich, zanim wpadli na mnie, czuli się bardzo pewni siebie. Porażka kosztuje więcej, gdy sądzisz, że jesteś dobry. Gdy w i e s z , że jesteś dobry. Tacy ludzie, gdy przegrywają, muszą przeprogramować cały swój obraz związków z wszechświatem.

Miałem dwie drogi do wyboru. Mógłbym walczyć dalej, póki mnie nie stłamsi i nie złamie. Albo mogłem się zaraz poddać. W końcu wszystko sprowadza się do tak lub nie, idź lub stój, zero lub jeden. Prawda?

Odetchnąłem głęboko. Spoglądałem prosto w chaos.

- Dobra - powiedziałem. - Przegrałem. Wsiadam.

Uwolniłem szarpnięciem nadgarstek; chwając się i dygocząc opadłem na ziemię.

Minutę później dorwało mnie pięciu gliniarzy, spętało jak prosiaka i wywlokło stamtąd; ramię, w którym umieszczony był wszczep, sterczało na zewnątrz kaftana, a omotane było zabezpieczającą opaską, jakby się obawiali, że zaraz zacznę pobierać informacje wprost z powietrza.

Zabrali mnie na Figueroa Street do dużego dziewięćdziesięcioletniego budynku z czarnego marmuru, w którym mieści się siedziba marionetkowego rządu miejskiego. Miałem to gdzieś.

Byłem sparaliżowany. Mogli mnie wsadzić do ścieku i też bym w się tym nie przejął. Nie zostałem

uszkodzony - automatyczna kontrolka obwodu wciąż funkcjonowała i świeciła się na zielono - ale uczucie upokorzenia było tak intensywne, że czułem się złamany. Czułem się zdruzgotany.

Jednego tylko chciałem: poznać nazwisko pajęczarza, który mnie tak załatwił.

Wszędzie w budynku na Figueroa Street sufity umieszczone są na wysokości sześciu metrów, by mogły się tu poruszać Istoty. W szerokich, przestronnych pomieszczeniach głosy odbijały się echem jak w jaskini. Gliniarze usadzili mnie w sieni, wciąż obwiązanego do stóp do głów, i trzymali mnie tam przez dłuższy czas. Zamazane dźwięki przewalały się ciężko przez korytarz.

Chciałem skryć się przed nimi. Czułem mózg jak otwartą ranę. Dostałem niezgorszy łomot.

Co i raz parę wyniosłych Istot przechodziło z łoskotem przez sień tupając na czubkach macek w swój charakterystyczny, dziwaczny i wytworny sposób. Wraz z nimi przechodziło nieliczne ludzkie towarzystwo, na które oni, jak zwykle, zupełnie nie zwracali uwagi. Wiedzieli, że jesteśmy rozumnymi stworzeniami, ale po prostu nie chciało im się do nas odzywać. Wyręczyli się komputerami działającymi poprzez złącze Borgmanna, oby jego sygnał rozkładał się przez wieki za to, że nas zdradził. Nie chodzi o to, że bez tego by nas nie podbili, ale Borgmann niezwykle im ułatwił przemienienie nas w bezwolne stado, pokazując, jak podłączyć nasze małe biokomputery do ich wielkich systemów informatycznych. Założę się, że był bardzo dumny z siebie: chciał po prostu zobaczyć, czy jego gadżet działa, i do diabła z tym, że zaprzedał nas w wieczystą niewolę.

Nikt nigdy nie wpadł na to, dlaczego Istoty się tutaj pojawiły i czego od nas chcą. Po prostu przybyły, to wszystko. Zobaczyły. Zwyciężyły. Przeorganizowały nas. Zaprzęgnęły do pracy nad jakimiś pieprzonymi, niezgłębionymi zadaniami. Jak w koszmarnym śnie.

I nie było sposobu, by się przed nimi obronić. Na początku zapatrywaliśmy się na to inaczej - byliśmy zadufani w sobie, zamierzaliśmy prowadzić wojnę partyzancką i zlikwidować je ale szybko dotarło do nas, jak bardzo się mylimy i że mają nas na zawsze w ręku. Nie ma nikogo, kto

mógłby cieszyć się choć pozorem wolności poza garstką pajęczarzy, takich jak ja. A wyjaśniłem już, że żaden z nas nie jest takim głupkiem, by próbował podjąć jakąś poważniejszą próbę kontrataku. Wystarczy nam, że możemy przemykać się z miasta do miasta bez przymusu występowania o pozwolenie.

Wyglądało na to, że teraz z tym wszystkim koniec dla mnie. Na razie guzik mnie to obchodziło.

Wciąż starałem się przyswoić sobie to, że zostałem pokonany; zabrakło mi pojemności, by opracować program na nowe życie, które będę teraz prowadził.

- Jest tutaj ten łaskawca? - zapytał ktoś.

- Tak, tam siedzi.

- Ona chce go zobaczyć.

- Jak myślisz, może powinniśmy go najpierw nieco rozmiękczyć?

- Powiedziała, żeby zaraz.

Dłoń na ramieniu zakołysała mną łagodnie. - Wstawaj, koleś. Czas na rozmówkę. I nie rozrabiaj, bo dostaniesz po łbie.

Bez oporu z mej strony powlekli mnie przez sień i gigantyczne odrzwia do ogromnego gabinetu, w którym sufit umieszczono tak wysoko, że Istoty miały dosyć potrzebnej im przestrzeni. Nie było ich w pomieszczeniu, znajdowała się tam tylko kobieta w ciemnej sukni siedząca za szerokim biurkiem w odległym końcu pokoju. W tym olbrzymim miejscu wyglądało jak biurko dla lalek i kobieta też wyglądała jak lalka. Gliniarze zostawili nas samych. Spętany jak prosię nie byłem niebezpieczny.

- Nazywasz się John Doe? - zapytała.

Stałem w połowie pokoju wpatrując się w buty. - A jak pani myśli? - powiedziałem.

- Takie nazwisko podałeś przy wejściu do miasta.

- Posługuję się wieloma nazwiskami. John Smith, Richard Roe, Joe Blow. Nazwisko, jakie

podaję, nie ma znaczenia dla programu przy bramie.

- Ponieważ przechytrzyłeś bramę? - Przerwała. - Muszę ci powiedzieć, że to oficjalne przesłuchanie.

- Wie pani już wszystko, co mógłbym powiedzieć. Wasz pajęczarz-borgmann przeleciał mi przez mózg.

- Posłuchaj - rzekła. - Pójdzie to łatwiej, jeśli będziesz współpracować. Oskarżony jesteś o nielegalne wejście, nielegalne przejęcie pojazdu, nielegalną działalność na złączach, a zwłaszcza o sprzedaż aktów łaski. Chcesz coś oświadczyć?

- Nie.

- Nie zaprzeczasz, że jesteś łaskawcą?

- Nie zaprzeczam, nie potwierdzam. Do cholery, jakie to ma znaczenie ?

- Spójrz na mnie - powiedziała.

- To wymaga wysiłku.

- Spójrz - powtórzyła. W jej głosie zabrzmiała dziwna zjadliwość. - Nie o to chodzi, czy jesteś łaskawcą, czy nie. Wiemy, że jesteś. Ja wiem, że jesteś. - I zwróciła się do mnie nazwiskiem, którego już bardzo dawno nie używałem. Prawdę powiedziawszy od trzydziestego szóstego.

Spojrzałem na nią. Wpatrzyłem się. Trudno mi było uwierzyć, że widzę to, co widzę. Uczułem, jak napływa ku mnie stłoczona fala wspomnień. W myśli przekształcałem jej twarz, zacierając niektóre zmarszczki, tu usuwając nieco ciała, tam dodając. Odzierałem ją z upływu lat.

- Tak - powiedziała. - Jestem tą, o której myślisz.

Zatkało mnie. To było gorsze niż to, co zrobił mi pajęczarz. Ale nie miałem jak przed tym uciec.

- Pracujesz dla nich? - zapytałem.

- Łaska, którą mi sprzedałeś, była nic nie warta. Wiedziałaś o tym, prawda? Ktoś czekał nie mnie w San Diego, ale gdy próbowałam przejść przez mur, zatrzymali mnie po prostu i odciągnęli

stamtąd wśród wrzasków. Chciałam cię zabić. Mogłam pojechać do San Diego, a potem spróbowalibyśmy dostać się na Hawaje w jego łodzi.

- Nie wiedziałem o tym facecie w San Diego - oświadczyłem.

- Dlaczego miałbyś wiedzieć? To nie był twój interes. Wzięłaś moje pieniądze i miałaś załatwić mi łaskę. Taka była umowa.

Oczy jej rozświeślały złote iskierki. Ciężko było mi w nie patrzeć.

- Wciąż chcesz mnie zabić? - zapytałem. - Zastanawiasz się, jak mnie zabić?

- Nie i jeszcze raz nie - znowu posłużyła się moim starym nazwiskiem. - Trudno mi opisać, jak bardzo się zdumiałam, kiedy cię tutaj przyprowadzono. Powiedzieli, że to John Doe, łaskawca.

Łaskawcy to mój wydział. Przyprowadzają wszystkich do mnie, ale po jakimś czasie pomyślałam: nie, nie ma cienia szansy, on jest najpewniej miliony kilometrów stąd i nigdy tu nie powróci. A potem przyprowadzili tego Johna Doe i ujrzałam twoją twarz.

- Czy będziesz w stanie uwierzyć - powiedziałem - że przez cały ten czas czułem się winny za to, co tobie zrobiłem? Nie musisz w to wierzyć. Ale to prawda.

- Jestem pewna, że była to dla ciebie rozpacz bez końca.

- Naprawdę. Proszę. Tak, robię fałszywki wielu ludziom, czasami tego żałowałem, czasami nie, ale ciebie żałowałem. Ciebie żałowałem najbardziej. To absolutna prawda.

Zastanowiła się nad tym. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy uwierzyła w to choćby na ułamek sekundy, ale widziałem, że się zastanawia.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała po chwili.

- Wyrabiam ludziom fałszywki, bo nie chcę uchodzić za bezbłędnego - powiedziałem jej. -

Dostarczasz ważną łaskę za każdym razem, rozchodzą się wiec ludzie zaczynają gadać, stajesz się powoli legendą. No i wszędzie jesteś znany, a prędzej czy później Istoty mają cię w ręku. To tyle.

Tak więc zawsze wciskam dużo fałszywek. Mówię ludziom, że zrobi, wszystko, na co mnie stać,

ale nie ma żadnych gwarancji i czasami to nie działa.

- Oszukałeś mnie rozmyślnie ?

- Tak.

- Tak myślałam. Wyglądałeś na chłodnego profesjonalistę. Chodząca perfekcja. Byłam pewna, że łaska będzie ważna. Nie mogłam sobie wyobrazić, że coś będzie z tym nie tak. A potem dotarłam do muru i oni mnie capnęli. Więc pomyślałam sobie: ten sukinsyn mnie wydał. Jest za dobry, by po prostu spartaczyć robotę - mówiła spokojnym tonem, ale w oczach wciąż palił się gniew. - Nie mogłeś wyrobić fałszywki komuś innemu? Dlaczego to musiałam być ja? Patrzyłem na nią przez dłuższy czas.

- Bo cię kochałem - powiedziałem.

- Gówno - odparła. - Nawet mnie nie znałeś. Byłam obcym człowiekiem, który cię wynajął.

- No właśnie. Wtedy w jednej chwili przepełniły mnie wariackie marzenia o tobie; przez ciebie całe moje ładne, uporządkowane życie przewróciło się do góry nogami, a ty widziałaś tylko człowieka, którego wynajęłaś do roboty. Nie wiedziałem wtedy o tym facecie w San Diego.

Myślałem tylko o tym, że cię widzę i że ciebie pragnę. Nie sądzisz, że to miłość? Dobra, nazwij to inaczej, jak sobie chcesz. Nigdy przedtem nie pozwalałem sobie na takie uczucie. Myślałem, że to nierozsądne: to krępuje, stawka staje się za wysoka. A potem ujrzałem ciebie, pogadałem trochę z tobą i pomyślałem, że coś mogłoby się wydarzyć między nami, zacząłem zmieniać się w środku i powiedziałem sobie: no, no, tym razem popłyn z prądem, niech się to stanie, wszystko będzie inaczej. A ty stałaś tam nie dostrzegając tego, nawet nie zaczęło to do ciebie docierać, paplałaś tylko, jak ważna jest dla ciebie ta łaska. Więc podrzuciłem ci fałszywkę. A później pomyślałem: Jezu, zniszczyłem tej dziewczynie życie i to tylko dlatego, że się do niej nagrzałem, postąpiłem jak kutas. Więc od tamtej pory zawsze tego żałowałem. Nie musisz temu wierzyć. Nie wiedziałem o San Diego. To przedstawia się teraz nawet gorzej dla mnie. - Nic nie mówiła przez cały ten czas, a

cisza zaczęła ciążyć nieznośnie. Po chwili odezwał się więc znowu: - Powiedz mi przynajmniej jedno. Kto to był ten facet, który rozwalił mnie na Pershing Square?

- To był nikt - odparła.

- Co to znaczy?

- To nie był ktoś. To było coś. Android, ruchoma jednostka antyłaskawcza podłączona wprost do wielkiego systemu komputerowego Istot w Culver City. Nowinka, którą puściliśmy na miasto.

- Aha - powiedziałem. - Aha.

- Zameldowano, że dałeś mu dobrze popalić przy tej robocie.

- On mi też. Prawie zrobił mi śmietanę z mózgu.

- Próbowaleś wypić morze przez słomkę. Przez chwilę wyglądało, że ci się to uda. Wiesz, że jesteś cholernie dobrym pajęczarzem?

- Dlaczego zaczęłaś dla nich pracować? - zapytałem. Wzruszyła ramionami. - Wszyscy dla nich pracują. Prócz takich jak ty. Zabrałeś wszystko, co posiadałam, i nie dałeś mi łaski. Cóż miałam zrobić?

- Rozumiem.

- To nie taka zła praca. Przynajmniej nie jestem tam, przy murze. Nie posłano mnie też na TND.

- Nie - powiedziałem. - Pewnie nie jest to takie złe. Jeśli nie przeszkadza ci praca w pokoju z tak wysokim sufitem. To właśnie się ze mną stanie? Wysyłka na TND?

- Nie bądź głupi. Jesteś zbyt cenny.

- Dla kogo?

- System ciągle wymaga doskonalenia. Wiesz o tym najlepiej. Będziesz pracował dla nas.

- Myślisz, że zostanę borgmannem? - zdumiałem się.

- To lepsze niż TND - odparła.

Ponownie zapadłem w milczenie. Pomyślałem, że nie może mówić tego poważnie; zgłupieliby,

gdyby powierzyli mi jakiekolwiek stanowisko, a wyszliby na kompletnych durniów, gdyby mi dali się zbliżyć do swego komputera.

- W porządku - powiedziałem. - Zrobię to. Pod jednym warunkiem.

- Twardziel z ciebie, nie?

- Pozwól mi na jeszcze jedno starcie z tym waszym androidem. Muszę coś sprawdzić. A potem możemy podyskutować, do jakiej pracy będę się tutaj najlepiej nadawał. Zgoda?

- Wiesz, że nie znajdujesz się w położeniu, w którym można stawiać warunki.

- Jasne. To co potrafię robić z komputerami, to sztuka jedyna w swoim rodzaju. Nie możecie mnie do tego zmusić wbrew woli. Do niczego nie możecie mnie zmusić.

Pomyślała nad tym. - Czemu ma służyć to powtórne starcie ?

- Nikt przedtem mnie nie pokonał. Chcę spróbować jeszcze raz.

- Wiesz, że będzie gorzej niż za pierwszym razem?

- Niech się o tym sam dowiem.

- Ale po co?

- Daj tutaj swego androida, a pokażę ci po co powiedziałem.

Przełknęła to. Może to była ciekawość, może coś innego, ale podłączyła się do komputera i po krótkiej chwili przyprowadzono do pokoju androida, którego spotkałem w parku albo może jakiegoś innego z tą samą twarzą. Obrzucił mnie uprzejmym spojrzeniem bez śladu zainteresowania.

Zjawił się ktoś, zdjął mi z nadgarstka opaskę zabezpieczającą i wyszedł. Kobieta wydała androidowi polecenia, on wyciągnął w moją stronę nadgarstek i nawiązaliśmy kontakt. Rzuciłem się jednym skokiem.

Byłem obolały, sponiewierany, trząsałem się jak galareta, ale wiedziałem, co trzeba zrobić, i wiedziałem, że muszę to zrobić szybko. Rzecz polegała na całkowitym pominięciu androida - to

była tylko końcówka, zespół w systemie komputerowym - i podążeniu dalej do tego, co stało za nim. Przeszedłem więc obok własnego programu androida; był pomysłowy, ale płytki. Od razu go wyminąłem, gdy układał swoje kombinacje, zanurkowałem pod powierzchnię i przeskoczyłem z poziomu końcówki na poziom głównego systemu komputerowego: serdecznie uściśnąłem sobie rękę z głównym komputerem w Culver City.

Jezu, ale to było uczucie !

Ta moc, te miliardy megabajtów, które tam przycupnęły, a ja podłączyłem się wprost do nich. Jasne, że czułem się jak mysz, która złapała się na jazdę na grzbiecie słonia. No i dobra. Mogłem być myszą, ale ta mysz wiozła się znakomicie. Trzymałem się kurczowo i wzbijałem w powietrze na huraganowych wichrach bijących od tej kolosalnej maszyny.

Bujając w górze wrywałem z niej garściami całe bryły i ciskałem je w podmuchy wiatru.

Nie zauważył tego przez dobrą jedną dziesiątą sekundy. Taki był ogromny. A ja się tam znalazłem wyszarpując mu z wnętrzości całe bloki danych, drąc je radośnie i prując. On nie wiedział o tym, bo nawet najwspanialszy komputer, jaki kiedykolwiek zmontowano, ciągle jeszcze ograniczony jest w tempie swych operacji prędkością światła; jeśli najlepsze, na co cię stać, to te trzysta tysięcy kilometrów na sekundę, wędrówka sygnału alarmowego przez wszystkie kanały neuronowe zajmuje chwilę czasu. Ta maszynka była olbrzymia. Czyżbym się wyraził, że chodziło o muchę na grzbiecie słonia? Ameba wożąca się na barkach brontozaura byłaby odpowiedniejszym porównaniem.

Bóg jeden wie, ile szkód udało mi się wyrządzić. Ale oczywiście zespoły obwodów alarmowych w końcu weszły mi w paradę. Wewnętrzne bramki zatrzasnęły się i wszystkie czułe obszary zostały zaplombowane, a ja zostałem stamtąd strącony jednym ruchem, bez najmniejszego wysiłku. Nie było sensu tkwić tam dalej czekając, aż wpadnę w potrzask, więc wyszedłem ze zwarcia.

Odkryłem to, co chciałem wiedzieć. Gdzie kryją się systemy obronne, jak pracują. Tym razem

komputer dał mi kopa, ale następnym mu się to nie uda. Mogę tam wleźć, kiedy tylko zechcę, i zniszczyć to, na co będę miał ochotę.

Android opadł na dywan. Teraz była to tylko pusta łupina. Na ścianie pokoju błyskały światła. Patrzyła na mnie z trwogą.

- Co ty zrobiłeś?

- Pokonałem twojego androida - powiedziałem. - Nie było to takie trudne, gdy już się dowiedziałem, jakie klawisze nacisnąć.

- Uszkodziłeś główny komputer.

- Nie całkiem. Nie za bardzo. Dałem mu tylko mały przyczek. Zdziwił się widząc, że do niego dotarłem, i to wszystko.

- Sądzę, że naprawdę go uszkodziłeś.

- Po co by mi to było?

- Właściwe pytanie brzmi: dlaczego tego jeszcze nie zrobiłeś. Dlaczego tam nie wlałeś i nie spieprzyłeś na dobre ich programów.

- Myślisz, że mógłbym zrobić coś takiego?

Przypatrywała mi się badawczo. - Myślę, że mógłbyś.

- Cóż, może tak. A może nie. Ale wiesz, że nie jestem krzyżowcem. Podoba mi się życie, jakie prowadzę. Jeżdżę, gdzie chcę, robię, na co mam ochotę. To spokojne życie. Nie rozpoczynam rewolucji. Gdy trzeba wykiwać jakieś urządzenie, kiwam je, ale nie bardziej niż to konieczne. A Istoty nawet nie wiedzą, że istnieję. Jeśli wepchnę im palec między drzwi, przytrzasną mi go. A więc tego nie czynię.

- Ale teraz możesz.

Zacząłem czuć się nieswojo. - Nie rozumiem ciebie - powiedziałem, choć przychodziło mi na myśl coś przeciwnego.

- Nie lubisz ryzyka. Nie lubisz być na widoku. Ale jeśli pozbawimy cię wolności, jeśli uwiążemy cię tu, w L.A., i zmusimy do pracy, co będziesz miał do stracenia? Zaraz tam wleziesz. Wykiwasz maszynkę, raz a dobrze. - Milczała jakiś czas. - Naprawdę byś to zrobił. Widzę teraz, że masz po temu możliwości i można postawić się w takim położeniu, w którym zechcesz z nich skorzystać. I wtedy spieszysz dla nas wszystko, prawda?

- Co?

- Załatwisz Istoty, to jasne. Tak narozrabiasz w ich komputerze, że będą musiały wyrzucić go na złom i zacząć wszystko od nowa. Czy nie tak?

No dobra, dopadła mnie.

- Ale nie dam ci tej szansy. Nie będzie tu żadnej rewolucji, ja nie zamierzam być jej bohaterką, a ty nie jesteś typem herosa. Rozumiem cię teraz. Niebezpiecznie z tobą igrzać. Jeśli ktoś to zrobi, znajdziesz okazję do zemsty i nic cię nie obejdzie, co ściągniesz komuś na głowę. Mógłbyś zniszczyć ich komputer, ale wtedy oni wzięliby się za nas i byłoby dwa razy gorzej niż teraz, a ty miałbyś to gdzieś. Ucierpielibyśmy wszyscy, a ty miałbyś to w nosie. Nie. Moje życie nie jest takie okropne, nie chcę, żebyś je przewrócił do góry nogami. Już raz mi to zrobiłeś. Nie chcę, żeby się to powtórzyło.

Patrzyła na mnie z kamiennym spokojem; zdawało się, że uleciała z niej cała wściekłość i została tylko pogarda.

Po pewnej chwili powiedziała: - Czy możesz znowu tam się dostać i tak wszystko załatwić, by nie było śladu po twoim dzisiejszym aresztowaniu?

- Tak. Tak, mógłbym to zrobić.

- Więc zrób. A potem ruszaj. Wyoś się stąd jak najszybciej.

- Mówisz poważnie?

- Myślisz, że żartuję?

Potrząsnąłem głową. Zrozumiałem. Wiedziałem, że zwyciężyłem i przegrałem zarazem.

Skinęła ręką niecierpliwie, jakby przeganiała muchę. Pochyliłem głowę. Czułem się bardzo, bardzo mały.

- Chcę tylko powiedzieć, że cały ten kawałek o tym, że tak bardzo żałowałem tego, co zrobiłem ci wtedy - to była prawda. Każde słowo.

- Pewnie tak. - powiedziała. - Słuchaj, zrób swoją sztuczkę i wytnij się stamtąd, a potem chcę żebyś poszedł. Z tego budynku. Z tego miasta. Dobra? Zrób to jak najszybciej.

Szukałem, co by tu jeszcze powiedzieć, i nic nie mogłem znaleźć. Zjeżdżaj, póki możesz, pomyślałem. Podała mi swój nadgarstek i wszedłem na jej złącze. Gdy mój wszczep dotknął jej wszczepu, zadygotała lekko. Bardzo lekko, ale zauważyłem. No, odczułem to. Chyba będę czuł to za każdym razem, gdy zechcę komuś wyrobić fałszywkę. Za każdym razem, kiedy tylko pomyślę o tym.

Dostałem się tam i znalazłem dane o aresztowaniu Johna Doe, wykasowałem je, a potem przejrzałem jej akta personalne i awansowałem ją o dwa stopnie podwajając przy tym pensję. Niewielka pokuta, ale co do diabła mogłem zrobić. Następnie zatarłem za sobą ślady i wycofałem program.

- W porządku - powiedziałem. - Zrobione.

- Znakomicie - stwierdziła i wezwała gliny.

Przeprosili mnie za błędne ustalenie tożsamości, pozwolili wyjść z budynku i puścili wolno na Figueroa Street. Było późne popołudnie, na ulicy ciemniało, w powietrzu czuło się chłód. Zima to zima, nawet w Los Angeles, choć na tutejszy sposób. Podszedłem do ulicznego wejścia i przywołałem Toshibę z miejsca, gdzie się zaparkowała; nadjechała po pięciu czy dziesięciu minutach. Kazałem jej zabrać mnie na północ. Jechaliśmy wolno, ruch w godzinie szczytu, ale można było wytrzymać. Podszedłem do muru przy bramie Sylmar, jakieś sto kilometrów za

miastem. Bramkarz zapytał mnie o nazwisko. - Richard Roe - powiedziałem. - Beta Pi Upsilon, sto cztery, trzysta dwadzieścia cztery, X. Punkt docelowy: San Francisco.

W San Francisco w zimie leje deszcz. A jednak to ładne miasto. O tej porze roku wolałbym Los Angeles, ale kij w oko. Życie to nie szklanka z miodem. Brama otworzyła się i Toshiba przejechała przez nią. Łatwo jak Beta Pi.

Ręce przy sobie

Pokładowy detektor masy rozbłysnął na różowo, potem na czerwono. Agee przysypiał już nad deską rozdzielczą, czekając, aż Victor upora się z obiadem.

Teraz gwałtownie podniósł wzrok.

- Planeta się zbliża! - zawołał, przekrzykując syk uciekającego powietrza.

Kapitan Barnett kiwnął głową. Skończył właśnie modelować gorącą łatę, którą z głośnym plaśnięciem przylepił do zniszczonego kadłuba "Niezlomnego". Świst uchodzącego powietrza przycichł do poziomu cichego jęku, ale nie ustał całkowicie. Nigdy nie ustawał.

Kiedy Barnett podszedł do konsoly, planetę było już widać, ledwo ledwo, spoza krawędzi małego czerwonego słońca. Jarzyła się zielono na tle czarnej nocy kosmosu i obu mężczyznom podsunęła tę samą myśl.

Barnett ujął ową myśl w słowa.

- Ciekawe, czy znalazłoby się tam coś do wzięcia - powiedział marszcząc czoło.

Agee, na znak nadziei, uniósł białą brew. Patrzyli na przyrządy, które właśnie zaczynały rejestrować.

Nigdy by nie wytropili tej planety, gdyby skierowali "Niezlomnego" na szlaki południowogalaktyczne. Ale na tamtej trasie namnożyło się Policji Konfederacyjnej, więc Barnett wolał ją omijać wielkim łukiem.

"Niezlomny" był zarejestrowany jako handlowiec - chociaż cały przewożony przez niego ładunek

sprowadzał się do kilku butelek silnie żrącego kwasu, używanego do otwierania sejfów i trzech średniej wielkości bomb atomowych.

Władze niechętnym okiem patrzyły na tego rodzaju dobra i stale usiłowały przymknąć załogę na podstawie jakiegoś przedawnionego oskarżenia - o morderstwo na Lunie, o kradzież na Omedze, o napad z włamaniem na Samii II.

Były to wszystko stare, prawie zapomniane przestępstwa, które policja z maniackim uporem próbowała rozdmuchać na nowo.

Co gorsza, nowe policyjne krążowniki przewyższały "Niezlomnego" pod względem uzbrojenia.

Dlatego wybrali trasę okrężną do Nowych Aten, gdzie właśnie rozpoczął się wielki strajk uranowy.

- Z wyglądu nic specjalnego - skomentował Agee, krytycznym okiem szacując wskaźniki.

- Tak czy owak, możemy się koło niej przejechać - powiedział Barnett.

Odczyty były mało ciekawe. Ukazywały planetę mniejszą niż Ziemia, nieobecną na mapach i pozbawioną jakiegokolwiek wartości handlowej poza atmosferą tlenową.

Kiedy mijali planetę, czujniki metali ciężkich gwałtownie ożyły.

- Tam jest materiał! - Agee błyskawicznie interpretował liczne odczyty.

- Czysty. Bardzo czysty - i to na powierzchni!

Spojrzał na Barnetta, który skinął głową. Pojazd skręcił gwałtownie w stronę planety.

Z zaplecza statku nadszedł Victor, w małej wełnianej czapeczce wciśniętej na wielką ogoloną głowę. Stał za Barnettem i patrzył mu przez ramię, jak Agee sprowadza pojazd w dół po torze ciasnej spirali. Z odległości pół mili od powierzchni planety dostrzegli swoje złoża ciężkiego metalu.

Był to statek kosmiczny, spoczywający na ogonie pośrodku naturalnej polany.

- A to ciekawe - zauważył Barnett. Gestem nakazał Ageemu zejść niżej.

Agee z niebywałą zręcznością osadził pojazd na ziemi. Dawno już przekroczył wiek emerytalny

dla pilotów dowodzących, co jednak wcale nie osłabiło jego koordynacji. Barnett, który znalazł go bez grosza i dachu nad głową, zatrudnił Agee'ego bez wahania. Kapitan zawsze chętnie pomagał bliźniemu, jeżeli było mu to na rękę i stwarzało szansę zysku. On i Agee mieli identyczny stosunek do własności prywatnej, chociaż czasami różnili się co do metod jej pozyskiwania. Agee wolał pewniaki. Barnett, przeciwnie, miał w sobie więcej odwagi niż to było wskazane u przedstawiciela stosunkowo delikatnego gatunku jakim był Homo sapiens.

Zbliżywszy się do powierzchni planety, stwierdzili, że obcy statek jest większy niż "Niezlomny", a do tego błyszczący, lśniący nowością. Kształt pokrywy był im nieznan, podobnie jak oznakowanie.

- Widziałeś kiedy coś podobnego? - spytał Barnett.

Agee skonsultował zasoby swojej przepastnej pamięci.

- Trochę przypomina robotę cephańską, tyle że ich statki nie są takie przysadziste. Solidnie zboczyliśmy z kursu. Ten statek może w ogóle nie być z Konfederacji.

Victor gapił się na statek z rozdziawioną gębą. Westchnął głośno.

- Przdalby się nam taki stateczek, co, kapitanie?

Nagły uśmiech Barnetta był jak pęknięcie w granicie.

- Victor! - powiedział Barnett. - W prostocie swojej dotknąłeś sedna sprawy. Istotnie, przyda nam się taki statek. Chodźmy tam i pogadajmy z jego szefem.

Przed dopięciem pasa, Victor upewnił się, że lodomiotacze mają pełny ładunek.

Już stojąc na ziemi, posłali w górę pomarańczowo-zieloną racę sygnalizacyjną, ale nie otrzymali odpowiedzi z obcego statku. Atmosfera planety chyba nadawała się do oddychania, temperatura wynosiła 72 stopnie Fahrenheita. Po odczekaniu paru minut wymaszerowali z pojazdu, trzymając lodomiotacze w pogotowiu pod osłoną kurtek.

Wszyscy trzej przemierzali dzielącą statki odległość z wystudiowanymi uśmieszkami na twarzach.

Z bliska statek był wspaniały. Jego połyskliwa srebrzystoszara powłoka była prawie nietknięta przez meteoryty. Wejście było otwarte, a po stłumionym mruczeniu poznali, że generatory właśnie się ładują.

- Jest tam kto?! - huknął Victor w czeluść włazu. Jego głos poniósł się głuchym echem po całym statku. Odpowiedzi nie było - tylko cichy szum generatorów i szelest traw na równinie.

- Gdzie oni się podzieli, jak myślicie? - zapytał Agee.

- Pewnie wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedział Barnett. - Na pewno nie spodziewali się gości.

Victor potulnie usiadł na ziemi. Barnett i Agee buszowali wokół podstawy statku, zachwycając się jego wspaniałymi dyszami.

- Dałbyś radę? Jak myślisz? - zapytał Barnett.

- Czemu nie - powiedział Agee. - Najważniejsze, że napęd jest konwencjonalny. Mechanizmy pomocnicze to drobiazg - istoty oddychające tlenem stosują podobne metody kontroli napędu. Na pewno się połapie, to tylko kwestia czasu.

- Ktoś idzie! - zawołał Victor.

Rzucili się do włazu. O trzysta jardów od statku zaczynał się wystrzępiony las. Jakaś figura wyłoniła się spomiędzy drzew i zmierzała w ich stronę.

Agee i Victor równocześnie wydobyli miotacze.

Lornetka Barnetta pozwoliła określić figurę jako równoległobok mierzący około dwóch stóp wysokości na jedną stopę szerokości. Grubość obcego nie sięgała dwóch cali. Głowy nie miał. Barnett zmarszczył brwi. Nigdy jeszcze nie widział czworokąta płynącego w powietrzu nad wysoką trawą.

Kiedy wyostrzył lornetkę, okazało się, że obcy ma w sobie coś z humanoida.

Sciślej rzecz ujmując, miał cztery kończyny. Dwóch z nich, prawie niewidocznych przez trawę,

używał do chodzenia, podczas gdy dwie pozostałe sterczały sztywno w przestrzeń. Pośrodku postaci Barnett z trudem wyróżnił małe oczy i usta. Stworzenie nie miało na sobie żadnego ubrania ani kasku.

- Ciekawy typ urody - mruknął Agee, ustawiając aparaturę miotacza. - A może on jest sam?

- Miejmy nadzieję - powiedział Barnett, również wyciągając miotacz.

- Odległość około dwa tysiące jardów - Agee wycelował broń, po czym podniósł wzrok. - A może pan kapitan życzy sobie najpierw z nim porozmawiać?

- Co tu gadać - uśmiechnął się leniwie Barnett. - Ale dajmy mu podejść bliżej. Szkoda by było spudłować.

Agee pokiwał głową i poprowadził obcego w oku celownika.

Kalen zatrzymał się na tym opuszczonym małym świecie z nadzieją zdobycia, metodą wysadzenia w powietrze, kilku ton erolu - minerału wysoko cenionego przez Mabogian. Nie miał szczęścia.

Niezużyta bomba tetnitowa nadal spoczywała w jego cielesnej sakiewce, w towarzystwie zabłąkanego orzecha kerla.

Kalen pomyślał, że wróci na Mabog z balastem zamiast ładunku.

Trudno, mówił sobie wynurzając się z lasu, może następnym razem.

Widok chudego, upstrzonego łatami statku kosmicznego przy jego własnym przyprawiał Kalena o szok. Najmniej ze wszystkiego spodziewał się znaleźć na tym świecie inną żywą istotę.

Tubylcy w dodatku stali przed jego wjazdem! Kalen od razu dostrzegł, że jeżeli chodzi o kształt, są z grubsza mabogijni. W Unii Mabogijskiej istniała rasa bardzo do nich podobna, tyle że budująca zupełnie inne statki.

Intuicja podszeptała mu, że mogą to być przedstawiciele tej wielkiej cywilizacji z peryferiów Galaktyki, o której już od dawna chodziły plotki.

Dziwna rzecz: obcy się nie poruszali. Dlaczego nie wychodzą na powitanie?

Wiedział, że go zauważyli, ponieważ wszyscy trzej wskazywali w jego kierunku.

Przyspieszył kroku, uświadamiając sobie, że nic nie wie o ich obyczajach.

Miał tylko nadzieję, że nie są zwolennikami zbyt rozwlekłych ceremonii. Już po godzinie spędzonej na tym wrogim świecie czuł się zmęczony. Był głodny, rozpaczliwie potrzebował prysznic...

Coś intensywnie zimnego rzuciło nim do tyłu. Rozejrzał się czujnie: czyżby to była jakaś nieznana cecha planety?

Ponownie ruszył do przodu. Następny pocisk też trafił go celnie, zamrażając zewnętrzną warstwę jego powłoki.

Sprawa wyglądała poważnie. Mabogianie należeli do najsilniejszych form żywych w Galaktyce, ale nawet ich odporność miała swoje granice. Kalen rozejrzał się ponownie, szukając źródła kłopotów.

To ci obcy - strzelali do niego!

Przez chwilę jego ośrodki myślowe odmawiały przyjęcia dowodu zmysłów. Kalen wiedział, co to jest morderstwo. Oniemiały ze zgrozy, bywał świadkiem tej perwersji wśród niektórych niskich form zwierzęcych. Widywał też rejestry odchyłeń psychicznych, które dokumentowały każdy przypadek morderstwa z premedytacją, jaki miał miejsce od początku historii Mabogu.

Ale żeby coś takiego zdarzyło się jemu osobiście! Kalen nie był w stanie w to uwierzyć.

Trafił go kolejny ładunek. Kalen stał bez ruchu, próbując przekonać samego siebie, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. Nie mógł pojąć, że stworzenia obdarzone zmysłem współdziałania wystarczającym do prowadzenia statku kosmicznego, potrafią być jednocześnie zdolne do morderstwa.

Przecież oni go nawet nie znali!

Kiedy było już prawie za późno, Kalen zrobił w tył zwrot i pognął do lasu.

Wszyscy trzej obcy strzelali za nim jednocześnie, toteż trawa wokół Kalena chrzęściła i białała od szronu, a powierzchnia jego skóry zlodowaciała całkowicie. Zimno było tym czynnikiem, do którego organizm mabogiański nie był szczególnie przystosowany. Chłód zaczynał się wdzierać do organów wewnętrznych Kalena.

Mimo to, nadal nie mógł uwierzyć.

Dopadł lasu, ale zanim skrył się za drzewo, dosięgnął go podwójny atak.

Poczuł, jak cały jego system wewnętrzny rozpaczliwie stara się przywrócić organizmowi ciepło, a w chwilę potem ze szczerym żalem poddał się ciemności.

- Jakiś głupi ten obcy - zauważył Agee, chowając miotacz do kabury.

- Głupi i silny - dodał Barnett. - Ale żaden tlenowiec dużo tego nie wytrzyma - dumnie wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał srebrnoszary kadłub statku. - Ochrcimy go "Niezlomny II".

- Hip hip hura na cześć kapitana! - krzyknął entuzjastycznie Victor.

- Oszczędzaj płuca - pouczył go Barnett. - Jeszcze ci się przydadzą. - Popatrzył w górę. - Mamy jeszcze ze cztery godziny światła. Victor, przynieś żywność, tlen i narzędzia z "Niezlomnego I" i rozładuj jego stopy. Kiedyś tu wrócimy i weźmiemy staruszka do domu. Ale na razie chcę odpalić przed zachodem słońca.

Victor oddalił się pośpiesznie. Barnett i Agee weszli na pokład statku.

Tylną połowę "Niezlomnego II" zapełniały generatory, silniki, transformatory, urządzenia pomocnicze, zbiorniki paliwa i powietrza. Obok mieściła się wielka ładownia, zajmująca prawie resztę wnętrza. Pełno w niej było orzechów rozmaitych kształtów i kolorów, których średnica wahała się od dwóch cali do mniej więcej podwójnej średnicy głowy dorosłego mężczyzny.

Pozostawały dwie kabinki w dziobie statku.

Pierwsza powinna była służyć za kabinę załogi - jako jedyny kawałek wolnego miejsca. Była

jednak kompletnie pusta: ani kozetek deceleracyjnych, ani stołów czy krzeseł - tylko

wypolerowana metalowa podłoga. W ścianach i w suficie widniał szereg otworów, których funkcja na pierwszy rzut oka nie była oczywista.

Z tym pomieszczeniem połączona była kabina pilota, bardzo mała, ledwie mieszcząca jedną osobę.

Deska rozdzielcza pod kopułą była szczelnie inkrustowana przyrządami.

- W twoje ręce przekazuję - powiedział Barnett do Agee'ego. - Zobaczymy, co potrafisz.

Agee kiwnął głową i rozejrzał się za stołkiem, po czym ukucnął przed konsolą i zaczął ją uważnie studiować.

W ciągu paru godzin Victor przeniósł cały ich dobytek na "Niezlomnego II".

Agee do tego czasu niczego jeszcze nie dotknął. Po rozmiarach, kolorach, kształtach i usytuowaniu poszczególnych urządzeń próbował odgadnąć, co kontroluje co. Nie było to łatwe, nawet przy założeniu podobieństwa systemów nerwowych i wzorców rozumowania. Czy pomocniczy system nadawczy biegnie od lewej do prawej? Jeżeli nie, Agee musiałby oduczyć się dotychczasowych nawyków. Czy dla projektantów tego statku kolor czerwony oznaczał zagrożenie?

Jeżeli tak, to duży przycisk mógłby służyć do obniżania poziomu paliwa. Ale kolor czerwony mógł z równym powodzeniem oznaczać gorące paliwo, w którym to przypadku przycisk kontrolowałby zapewne nadmierny przepływ energii.

W końcu Agee doszedł do wniosku, że zadaniem przycisku jest przeładować stopy w razie wrogiego ataku.

Mając to na uwadze, Agee dalej badał przyrządy. Nie przejmował się za bardzo tym, czego nie rozumiał. Po pierwsze statki kosmiczne były to twarde sztuki, na dobrą sprawę nie zniszczalne od wewnątrz. Po drugie miał wrażenie, że złapał system.

Barnett wetknął głowę do kabiny. Tuż za jego plecami stał Victor.

- Gotów?

Agee obrzucił spojrzeniem całą konsolę.

- Chyba tak - lekko dotknął jednego z pokręteł. - To powinno kontrolować śluzy.

Przekręcił gałkę. Victor i Barnett zamarli w oczekiwaniu, pocąc się obficie w chłodnym pomieszczeniu.

Usłyszeli gładki świst naoliwionego metalu. Śluzy zatrzęsły się.

Agee, rozpromieniony, dmuchnął w koniuszki palców - na szczęście.

- To by był system wymiany powietrza - oświadczył. Włączył przycisk.

Z sufitu zaczął się sączyć żółty dym.

- System zanieczyszczony - mamrotał Agee, kręcąc gałką. Victor zaniósł się kaszlem.

- Wyłącz to - powiedział Barnett.

Dym walił gęstymi smugami, momentalnie wypełniając oba pomieszczenia.

- Wyłącz to!

- Kiedy nic nie widzę! - Agee po omacku nie trafił we właściwy przycisk i zamiast niego wcisnął guzik pod spodem. Generatory zaczęły z miejsca wściekle zawodzić. Błękitne ogniki przemknęły wzdłuż konsoly i wskoczyły na ścianę.

Agee, zataczając się, odstąpił od konsoly i padł na ziemię. Victor już był przy drzwiach ładowni, próbując je wywalić pięściami. Barnett zakrył dłonią usta i rzucił się do przyrządów. Na ślepo szukał wyłącznika. czując, jak cały statek wokół niego wiruje do utraty tchu.

Victor runął na ziemię, nie przestając bębnić w drzwi ładowni zwiotczalymi pięściami.

Barnett na oślep dźgnął konsolę.

Generatory umilkły w jednej chwili. Następnie Barnett poczuł na twarzy zimny powiew. Otarł łzawiące oczy i spojrzał w górę.

Przypadkowo trafiony przycisk zamknął ujście w suficie, przerywając dopływ żółtego gazu.

Barnett przez przypadek otworzył śluzy i zimne nocne powietrze planety już wypierało gaz ze

statku. Wkrótce można było oddychać.

Victor niepewnie gramolił się na nogi, ale Agee nie dawał znaku życia.

Barnett zrobił staremu pilotowi sztuczne oddychanie, klnąc przy tym przez cały czas pod nosem.

Wreszcie powieki Agee'ego zatrzepotały, a jego klatka piersiowa zaczęła wznosić się i opadać. W chwilę potem usiadł i tylko kręcił głową.

- Co to było za świństwo? - zapytał Victor.

- Obawiam się - powiedział Barnett. - że nasz znajomy uważał to za świetne powietrze do oddychania.

Agee dalej kręcił głową.

- Niemożliwe, kapitanie. Przecież był w świecie otoczonym tlenem, chodził po nim bez kasku, bez...

- Upodobania dotyczące powietrza potrafią być bardzo różne - zauważył Barnett. - Spójrzmy prawdzie w oczy: pod względem fizycznym nasz przyjaciel nie przypominał nas ani trochę.

- To nie za dobrze - podsumował Agee.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia. W następnej chwili ciszy dobiegł ich niewyraźny, niepokojący odgłos.

- Co to było? - Victor skoczył na równe nogi, wyszarpując miotacz z kabury.

- Spokój! - wrzasnął Barnett.

Nasłuchiwali. Im dłużej Barnett próbował zidentyfikować odgłos, tym bardziej czuł, że każdy włoszek na karku staje mu dęba.

Odgłos dobiegał z daleka. Jakby metal uderzał w twardy obiekt niemetaliczny.

Trzej mężczyźni wyjrzeni przez luk. W pożegnalnym blasku słońca zobaczyli, że główny właz "Niezlomnego I" jest otwarty. Odgłos dobiegał ze statku.

- Niemożliwe - powiedział Agee. - Lodomiotacze...

- Nie zabiły go - dokończył Barnett.

- To źle - wystękał Agee. - To bardzo źle.

Victor dalej dzierżył swój lodomiotacz w pogotowiu.

- Kapitanie, a może ja bym się tam przespacerował...

Barnett pokręcił głową.

- Nie dopuści cię bliżej niż na dziesięć stóp do śluzy. Nie, daj pomyśleć.

Było tam coś na pokładzie, czym mógł się posłużyć? Stosy?

- Ja mam łącza, kapitanie - powiedział Victor.

- Dobrze. Wobec tego nie ma tam nic, co...

- Kwas - wtrącił Agee. - Bardzo mocny. Ale nie przypuszczam, aby mógł nim wiele zdziałać.

- Nic a nic - przytaknął Barnett. - Jesteśmy na tym statku i nie ruszymy się z niego. Na początek oderwijmy go od ziemi.

Agee patrzył na deskę rozdzielczą. Jeszcze pół godziny temu prawie ją rozumiał. Teraz wydawała mu się chytrą, śmiercionośną pułapką - potrzaskiem, którego niewidoczne druciki prowadzą nieuchronnie do zniszczenia.

Pułapka była niezamierzona. Ale statek kosmiczny był siłą rzeczy machiną przeznaczoną nie tylko do podróżowania, ale i do życia. Przyrządy musiały starać się odtwarzać naturalne środowisko obcego, zaspokajać jego potrzeby.

Dla nich trzech mogło się to okazać fatalne w skutkach.

- Szkoda, że nie wiemy z jakiego rodzaju planety gość pochodzi - odezwał się żałośnie Agee.

Gdyby znali warunki naturalne obcego, potrafiliby przewidzieć zachowania jego statku.

Wiedzieli tylko tyle, że oddycha trującym żółtym gazem.

- Dobrze nam idzie - oświadczył bez przekonania Barnett. - Znajdź tylko przycisk napędu, a resztę zostawimy w spokoju.

Agee odwrócił się do konsoly.

Barnett ciekaw był, co zamierza obcy. Zapatrzył się w sylwetkę swojego dawnego statku, widoczną na tle wieczornego nieba i słuchał niesamowitego odgłosu uderzania metalu o nie metal.

Kalen zdziwił się bardzo, że jeszcze żyje. Ale popularne wśród ludu porzekadło głosiło, że "Mabogianin umiera natychmiast, albo wcale". Na razie okazało się, że wcale.

Skołowany, usiadł i oparł się o drzewo. Pojedyncze czerwone słońce wisiało nisko nad horyzontem, a wokół Kalena wirowały podmuchy trującego tlenu.

Natychmiast skontrolował płuca i stwierdził, że nadal są bezpiecznie zablokowane. Życiodajne żółte powietrze, chociaż już w dużej mierze pozbawione wartości wskutek długiego używania, wciąż jeszcze trzymało go przy życiu.

Kalen nadal jednak nie bardzo wiedział, co się dzieje. O kilkaset jardów od niego stał sobie spokojnie jego statek. Coraz słabsza czerwona luna ślizgała się po jego kadłubie i Kalen na chwilę uległ złudzeniu, że żadnych obcych nie było. Wymyślił sobie całą sytuację, a teraz wróci na statek...

Zobaczył, jak jeden z obcych, obładowany różnymi dobrami, wsiada do jego pojazdu. Po krótkiej chwili śluzy się zamknęły.

To była prawda, wszystko było prawdą. Kalen wykonał ostry zwrot myślowy w stronę niewesołej rzeczywistości.

Pilnie potrzebował jedzenia i powietrza. Jego skóra zewnętrzna była sucha i popękana; wymagała oczyszczenia i ożywienia. A żywność, powietrze i środki czyszczące zostały na statku. Przy sobie, w cielesnej sakiewce, Kalen miał tylko jeden czerwony orzech kerla i bombę tetnitową.

Gdyby udało mu się rozłupać i zjeść orzech, odzyskałby nieco sił. Ale jak go rozłupać?

Był przerażony tym, jak dalece uzależnił się maszyn. I tym, że teraz będzie musiał znaleźć sposoby na wykonanie czynności najprostszych, zwyczajnych, codziennych - tych, które jego

statek wykonywał automatycznie, a o których on sam nawet nie musiał myśleć.

Kalen zauważył, że obcy najwyraźniej porzucili swój statek. Dlaczego? To nie było ważne. Ważne było to, że jeżeli zostanie na równinie, umrze przed nastaniem dnia. Jedyna jego szansa na przeżycie leżała we wnętrzu obcego statku.

Wolno prześlizgiwał się wśród traw, przystając tylko w chwilach, gdy atakowały go zawroty głowy. Starał się nie tracić z oczu swojego pojazdu. Jeżeli obcy zaczną go teraz ścigać - wszystko stracone. Ale nic takiego nie nastąpiło. Podkradłszy się do statku, co trwało wieczność, Kalen wszedł do środka.

Nadchodził wieczór. Ale nawet w półmroku dało się zauważyć, że statek jest stary. Ściany, od początku za cienkie, miały łatę na łacie. Wszystko świadczyło o długoletniej, intensywnej eksploatacji.

Teraz rozumiał, dlaczego tak im zależało na jego statku.

Zaatakowała go kolejna fala słabości. W ten sposób organizm Kalena domagał się natychmiastowej uwagi.

Problemem numer jeden wydawało się jedzenie. Kalen wyłuskał z sakwy orzech kerla. Orzech był okrągły, mierzył około czterech cali średnicy, przy czym grubość łupiny wynosiła dwa cale.

Orzechy tego gatunku były podstawowym składnikiem diety mabogiańskiego kosmonauty.

Stanowiły koncentrat energii i dawały się przechowywać praktycznie w nieskończoność - niełuskane, rzecz jasna.

Kalen położył orzech przy ścianie, znalazł stalowy pręt i z całej siły uderzył prętem w orzech. Przy zetknięciu z orzechem, pręt powodował głuchy odgłos, jak z wielkiego bębna. Orzech pozostał nietknięty.

Kalen ciekaw był, czy obcy usłyszeli odgłos. Musiał się liczyć z ryzykiem.

Przymierzył się i ponownie zaatakował orzech. Po kwadransie, on sam padał z wyczerpania, a pręt

zgięty był niemal w pół.

Orzech nie odniósł szwanku.

Kalen zrozumiał, że nie da rady rozłupać orzecha bez Zgniatacza - standardowego wyposażenia wszystkich mabogiańskich statków. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że można próbować innych metod łupania orzechów.

Był to przerażający dowód jego bezradności.

Uniósł łom do następnego uderzenia i stwierdził, że jego kończyny sztywnieją. Rzucił pręt i dokonał oględzin własnej osoby.

Zmrożona powłoka zewnętrzna hamowała ruchy. Skóra twardniała powoli w nieprzenikalną tkankę rogową. Z końcem procesu twardnienia, Kalen zostałby unieruchomiony. Zamrożony w jednej pozycji, siedziałby tak lub stał, dopóki nie udusiłby się na śmierć.

Kalen z trudem odegnał falę rozpacz i zmusił się do myślenia. Musiał bezzwłocznie zdjąć starą skórę. To było ważniejsze niż jedzenie. Na pokładzie własnego statku obmyłby ją i namoczył, zmiękczył i w końcu wykurował. Wątpił jednak, czy obcy wozili z sobą odpowiednie środki czyszczące.

Drugim wyjściem było zderzyć z siebie zewnętrzną powłokę. Kolejna warstwa skóry przez parę dni byłaby bardzo delikatna, ale przynajmniej nie krępowałaby ruchów.

Na sztywnych kończynach udał się w poszukiwaniu Rozbieraka. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że obcy na pewno nie będą mieli nawet tego podstawowego urządzenia. Znowu zdany był wyłącznie na siebie.

Podniósł stalowy łom, wygięty w hak, i jego czubek wetknął pod fałd skóry.

Z całej siły szarpnął w górę.

Skóra nie poddawała się.

Kalen wcisnął się między generator a ścianę i inaczej zamocował hak. Zbyt krótkie ramiona nie

pozwoili mu jednak zastosowa techniki dzwigni i twarda skora uparcie trzymala sie na cieie.

Wyprobował jeszcze z dziesiec innych pozycji - bez powodzenia. Pozbawiony pomocy mechanicznej, nie mógł utrzymac sie dośc mocno w jednym miejscu.

Zniechęcony, rzucił łom. Nic nie mógł zrobić, absolutnie nic. I nagle przypomniał sobie o bombie tetnitowej w cielesnej sakwie.

Prymitywna część jego umysłu, której istnienia nigdy przedtem nie podejrzewał, podszeptowała, że jest jedno proste wyjście z sytuacji. Kalen mógł podrzucić bombę pod własny statek, korzystając z nieuwagi obcych. Słaby ładunek nie wyrządziłby statkowi większej szkody, tylko wyrzuciłby go w górę na wysokość dwudziestu, może trzydziestu stóp.

Obcy jednak niewątpliwie ponieśli by śmierć.

Kalen poczuł grozę. Jak mógł o czymś takim pomyśleć? Etyka Mabogian, wszczepiona głęboo w samą tkankę jego istnienia, zabraniała odbierania życia istocie inteligentnej, bez względu na okoliczności. Bez względu na wszelkie okoliczności.

- Ale czy to nie będzie usprawiedliwione? - szeptała prymitywna część jego umysłu. - Ci obcy są chorzy. Oddałbyś przysługę wszechświatu pozbywając się ich, a przy okazji tylko pomógłbyś sam sobie. Nie myśl o tym jako o morderstwie. Uznaj to za eksterminację.

Kalen wyjął bombę z sakiewki i obejrzał ją, po czym pospiesznie schował z powrotem.

- Nie! - powiedział sam do siebie, bez wielkiego przekonania.

Nie chciał już więcej myśleć. Na zmęczonych, niemal całkiem sztywnych kończynach, zaczął przeszukiwać obcy statek, rozglądając się za czymś, co uratowałoby mu życie.

Agee siedział w kucki w kabinie pilota, ze znużeniem znacząc przyciski niezmazywalmym ołówkiem. Czuł ból w płucach; pracował całą noc. Teraz na zewnątrz ponuro szarzał świt i chłodny wiatr smagał kadłub "Niezlomnego II".

Statek miał już oświetlenie, ale nie miał ogrzewania, ponieważ Agee bał się dotknąć regulatora

temperatury.

Victor wszedł do pomieszczenia załogi, zataczając się pod ciężarem wielkiej skrzyni.

- A Barnett? - zawołał Agee.

- Idzie - odpowiedział Victor.

Kapitan kazał cały sprzęt składać na przodzie statku, gdzie byłby łatwo dostępny. Pomieszczenie załogi było jednak nieduże i prawie w całości już zastawione.

Rozglądając się za kawałkiem wolnego miejsca pod skrzynię, Victor zauważył drzwi w jednej ścianie. Wcisnął widniejący w nich guzik - drzwi gładko podjechały w górę i schowały się w suficie, ukazując pokoik wielkości szafy.

Victor uznał, że będzie to świetny magazyn.

Nie zważając na okruchy czerwonych łupin walające się po podłodze, wepchnął skrzynię do środka.

Sufit pokoiku zaczął się momentalnie opuszczać.

Victor ryknął, aż się poniosło po całym statku. Podskoczył - i wyrznął głową w sufit. Padł na twarz, oniemiały ze zdziwienia.

Agee wypadł z kabiny pilota, a i Barnett nadbiegł do nich sprintem. Barnett złapał Victora za nogę, chcąc go wyciągnąć ze schowka, ale Victor był ciężki, a kapitan ślizgał się po gładkim metalu posadzki.

Wykazując rzadką przytomność umysłu, Agee ustawił skrzynię na sztorc. Sufit zatrzymał się na niej.

Barnett i Agee zaczęli we dwóch szarpać Victora za nogi. Udało im się go wyciągnąć w samą porę: ciężka skrzynia rozpekła się na kawałki, a w następnej chwili zmiażdżona została w proch.

Sufit pokoiku, opuszczający się na lśniącym olejem potężnym sztyfcie, sprasował kufer do grubości sześciu cali. Dokonawszy tego, urządzenie mlasnęło dźwięcznie i bezszelestnie wróciło na

miejsce.

Victor usiadł, masując głowę.

- Kapitanie - odezwał się błagalnym tonem. - Nie moglibyśmy wrócić na nasz statek?

Agee też miał swoje wątpliwości co do całego przedsięwzięcia. Ogarnął wzrokiem złowieszczy pokoi, który na powróż przypominał szafę z okruchami czerwonych skorup na podłodze.

- Jak słowo daję, to jakaś pułapka - odezwał się strapiony. - Może Victor ma rację.

- Chcesz zostawić taki statek? - zdumiał się Barnett.

Agee skrzywił się niewyraźnie i kiwnął głową.

- Najgorsze - powiedział, nie patrząc na Barnetta - jest to, że nie wiemy, z czym on za chwilę wyskoczy. Za duże ryzyko, kapitanie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, z czego byś zrezygnował? - zbeształ go Barnett.

- Sam kadłub wart jest majątek. Oglądałeś silniki? Nie ma siły po tej stronie Ziemi zdolnej powstrzymać tę maszynę. Potrafi przewiercić planetę na wylot i wyjść po drugiej stronie bez jednego draśnięcia na lakierze. A ty chcesz ją zostawić!

- Nie będzie tyle warta, jak nas pozabija - zauważył Agee.

Victor entuzjastycznie pokiwał głową.

Barnett wytrzeszczył na nich oczy.

- Słuchajcie mnie uważnie - powiedział. - Nie zostawimy tego statku. To nie jest żadna pułapka.

To pojazd obcych, wyposażony w obcą aparaturę. Wystarczy, żebyśmy nie ruszali czego nie trzeba do momentu lądowania. Zrozumiano?

Agee miał ochotę wypowiedzieć się na temat szaf, które zamieniają się w prasy hydrauliczne. Nie wydawało mu się to zbyt obiecującym sygnałem na przyszłość. Ale spojrzał na minę Barnetta i postanowił nie zabierać głosu.

- Poznaczyłeś wszystkie przyrządy?

- Jeszcze kilka mi zostało - powiedział Agee.

- W porządku. Skończ i tylko tych będziemy dotykać. Jeżeli resztę maszyny pozostawimy w spokoju, to i ona nas nie ruszy. Musimy tylko trzymać ręce przy sobie - i nie ma strachu.

Barnett otarł pot z twarzy, oparł się o ścianę i rozpiął kurtkę.

Natychmiast z otworów po obu jego stronach wysunęły się dwie metalowe wstęgi, które opasały Barnetta na wysokości talii i żołądka.

Barnett chwilę im się przyglądał, po czym z całej siły szarpnął się do przodu. Wstęgi nie puszczały. W ścianie rozległ się dziwny odgłos, jakby kląskanie, a zaraz potem wysunął się stamtąd delikatny cienki drucik. Drucik z szacunkiem dotknął kurtki Barnetta, po czym schował się w głąb ściany.

Agee i Victor patrzyli na to wszystko bezradnie.

- Wyłącz to - wycedził Barnett przez zęby.

Agee skoczył do kabiny pilota. Victor dalej wytrzeszczał oczy. Ze ściany wyslizgnęła się metalowa łapa, zakończona połyskliwym trzycalowym ostrzem.

- Nie! - rozdarł się Barnett.

Victor ożył gwałownie. Podbiegł do łapy, próbował ją wyrwać ze ściany, ale ramię wykonało tylko jeden zwrot i posłało Victora w przeciwległy koniec pomieszczenia.

Z chirurgiczną precyzją ostrze przecięło kurtkę Barnetta równo pośrodku, nie dotykając koszuli pod spodem. Łapa znikła z pola widzenia.

Agee wciskał jeden przycisk po drugim: generatory wyły, stabilizatory drgały, mrgały światła. Na mechanizmie, który więził Barnetta nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

Wiotki drucik znów się pokazał. Dotknął koszuli Barnetta i zawahał się na moment. Mechanizm wewnętrzny zaświergitał ostrzegawczo. Drucik raz jeszcze dotknął koszuli Barnetta, jakby niepewny, co powinien w takim przypadku uczynić.

Agee darł się z pomieszczenia kontrolnego.

- Nie daje się wyłączyć! To chyba w pełni automatyczne!

Drucik schował się w ścianie, a w jego miejsce pojawiło się zakończone ostrzem ramię.

Victor zdążył tym czasem znaleźć ciężki klucz francuski. Podskoczył, zamachnął się i morderczym ciosem trafił w ramię, omijając o włos głowę Barnetta.

Łapa ani trochę na tym nie ucierpiała. Spokojnie rozplatała koszulę Barnetta od strony pleców, pozostawiając go nagim do pasa.

Barnettowi nic się nie stało, ale dziko przewrócił oczami, kiedy wiotki drucik wyłonił się ze ściany po raz trzeci. Victor wpakował pięść do ust i zaczął się cofać. Agee zacisnął powieki.

Drucik dotknął ciepłego, żywego ciała Barnetta i wyraźnie usatysfakcjonowany, cofnął się w głąb ściany. Wstęgi otworzyły się. Barnett padł na kolana.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Nie było o czym mówić. Barnett zagapił się przestrzeń.

Victor strzelał kostkami palców, aż Agee trącił go w bok.

Stary pilot zastanawiał się, dlaczego mechanizm porozcinał odzież Barnetta, ale zatrzymał się kiedy doszedł do żywego ciała. Czyżby obcy w ten sposób się rozbierał? Nie miało to sensu. Ale, z drugiej strony, szafa-prasa też nie miała sensu.

Agee nawet się trochę ucieszył z tego incydentu. Zdarzenie musiało dać Barnettowi nauczkę.

Teraz już na pewno zostawią to zdradliwe monstrum i wymyślą sposób na odzyskanie własnego statku.

- Daj mi jakąś koszulę - powiedział Barnett. Victor pospiesznie znalazł coś dla niego. Barnett ubrał się w koszulę, stojąc jak naddalej od ściany.

- Jak szybko możesz uruchomić ten statek? - zapytał Barnett Agee'ego, jeszcze nieco roztrzęsiony.

- Co takiego?

- Słyszałeś chyba.

- Ty jeszcze nie masz dość? - Agee'ego zatkąło.

- Nie mam. Jak szybko możemy odpalić?

- Za godzinę, coś koło tego - burknął niechętnie Agee. Co innego mógł powiedzieć? Kapitan był nie do wytrzymania. Agee poczłapał zmęczony do pomieszczenia kontrolnego.

Barnett założył sweter na koszulę, a na to jeszcze kurtkę. W pomieszczeniu było chłodno, a on dostał silnych dreszczy.

Kalen leżał bez ruchu na podłodze obcego statku. Jak głupi, zmarnował resztkę sił na próby zerwania sztywnej powłoki zewnętrznej. A im on był słabszy, tym szybciej skóra twardniała. Teraz już w ogóle nie opłacało się ruszać.

Lepiej odprężyć się i czuć, jak ognie wewnętrzne wolno dogasają.

Wkrótce śnił już o zębatych wzgórzach Mabogu i o wielkim porcie Canthanope, do którego spływali w dół handlarze międzygwiazdni ze swoimi egzotycznymi towarami. Był tam teraz, zapadał zmierzch, a on patrzył ponad płaskimi dachami na dwa ogromne zachodzące słońca.

Dlaczego jednak oba słońca zachodziły na południu? Fizyczna niemożliwość. Może ojciec zdoła to wyjaśnić. Noc zapadła szybko.

Otrząsnął się z fantazji i zobaczył ponure światło poranka. Nie tak powinien umierać kosmonauta z Mabogu. Jeszcze raz spróbuje.

Po pół godzinie żmudnych, bolesnych poszukiwań trafił na zapleczu statku na zaplombowaną metalową skrzynkę. Obcy najwyraźniej o niej zapomnieli. Zerwał wieko. Wewnątrz było kilka butelek, starannie zamocowanych i zabezpieczonych okładzinami przed rozbiciem. Kalen wyjął jedną i obejrzał ją uważnie.

Oznaczona była dużym białym symbolem. Nie było żadnego powodu, żeby Kalen miał znać ten symbol, a jednak wydał mu się on dziwnie znajomy. Kalen wysilił pamięć, starając się dociec, gdzie widział coś podobnego.

I przypomniał sobie, jak przez mgłę: było to przedstawienie czaszki humanoida. W Unii

Mabogijskiej była jedna rasa humanoidalna, a kopie jej czaszek Kalen oglądał w muzeum.

Ale czemu ktoś miałby tym symbolem ozdabiać butelkę?

W Kalenie czaszka budziła uczucie szacunku. O to zapewne chodziło producentom. Otworzył butelkę i powąchał.

Woń była ciekawa. Przypominała zapach...

... roztworu do czyszczenia skóry!

Nie zwlekając, Kalen wylał na siebie całą zawartość butelki. Bał się żywić nadzieję, czekał tylko, co będzie. Gdyby udało mu się przywrócić skórę do porządku...

Tak jest, płyn zawarty w butelce z czaszką był łagodnym środkiem czyszczącym. A do tego miał przyjemny zapach.

Kalen wylał kolejną butelkę na swój pancerz i poczuł, jak zbawczy płyn wsącza się głębiej. Jego ciało, spragnione odżywki, chciwie wołało o jeszcze.

Opróżnił trzecią butelkę.

Przez dłuższy czas Kalen tylko leżał i czuł jak wsącza się w niego życiodajny płyn. Skóra rozluźniła się i uelastyczniła. Czuł w sobie nowy zastrzyk energii, nową wolę życia.

Będzie żył!

Po kąpieli Kalen zbadał konsolę statku; miał nadzieję, że zdoła dolecieć starym pudłem na

Mabog. Natychmiast wyłoniły się trudności. Z niewiadomej przyczyny urządzenia kontrolne nie były zabezpieczone w oddzielnym pomieszczeniu. Zastanawiał się, dlaczego. Niemożliwe przecież, żeby te dziwne stworzenia cały swój statek uczyniły komorą deceleracyjną. Niemożliwe. Nie mieli nawet dość miejsca na pojemniki z płynem.

Było to niepokojące, ale niepokojące było jak dotąd wszystko, co dotyczyło obcych. Tę trudność

Kalen był w stanie przezwyciężyć. Kiedy jednak poszedł obejrzeć silniki, stwierdził brak

kluczowego ogniwa, które usunięto ze stosów. Mechanizm był bezużyteczny.

Pozostawało tylko jedno wyjście: musi odzyskać swój statek.

Ale jak?

Nerwowo przemierzał pokład. Etyka mabogiańska zabraniała zabijać inteligentne życie i nie było w tej kwestii żadnego "ale". Pod żadnym pozorem - nawet w obronie własnego życia - nie wolno było zabić. Było to mądre prawo, które dobrze przysłużyło się Mabogianom. Dzięki ścisłemu jego przestrzeganiu, Mabogianie przez trzy tysiące lat unikali wojen, za to osiągnęli wysoki stopień rozwoju cywilizacji - co byłoby niemożliwe, gdyby dopuścili wyjątki od reguły. Każde "ale" może zaszkodzić najzdrowszej nawet zasadzie.

Nie mógł złamać prawa.

Ale czy wobec tego ma tu umierać bez walki?

Kalen spojrzał pod nogi i stwierdził ze zdumieniem, że rozlany płyn czyszczący powyżerał dziury w pokładzie. Cóż za nietrwałe urządzenie - byle płyn kosmetyczny potrafi je zniszczyć! Sami obcy wobec tego też muszą być słabi.

Wystarczyłaby jedna bomba tetnitowa.

Podszedł do okna. Chyba nikt nie stał na straży, Kalen pomyślał, że na pewno zajęci są przygotowaniami do startu. Nic prostszego jak przemknąć się wśród traw do samego statku...

A na Mabogu nikt by się nie musiał dowiedzieć prawdy.

Kalen, ku własnemu zdumieniu, stwierdził, że już bezwiednie pokonał połowę odległości między pojazdami. To ciekawe, ile potrafi zrobić ciało bez udziału umysłu.

Wyjął bombę i podczołgał się o następne dwadzieścia stóp bliżej.

W końcu przecież - w dalszej prespektywie - to zabójstwo niczego nie zmieniało.

- Jeszcze nie jesteś gotowy? - zapytał Barnett o dwunastej w południe.

- Chyba już jestem - odpowiedział Agee. - Bardziej gotowy już nie będę.

Barnett kiwnął głową.

- My z Victorem przytroczymy się pasami w kabinie załogi. Startuj z najmniejszym przyspieszeniem.

Barnett wrócił do pomieszczenia załogi. Agee podopinał pasy i nerwowo zatarł ręce. Zdawało mu się, że pozaznaczał wszystkie podstawowe urządzenia.

Powinno się było udać. Miał nadzieję, że się uda.

Bo przecież była ta szafa, i łapa z nożem. Kto zgadnie, z czym jeszcze wyskoczy szalony pojazd?

- Gotowi! - zawołał Barnett z kabiny załogi.

- Dobra. Jeszcze z dziesięć sekund.

Zamknął i zabezpieczył śluzy. Jego własne drzwi zamknęły się automatycznie, odcinając pilota od reszty załogi. Z lekkim uczuciem klaustrofobii, Agee włączył stosy. Na razie wszystko szło doskonale.

Na podłogę wypełzła cienka strużka oleju. Agee uznał to za wyciek z obłuzowanego złącza i nie przejął się zbyt. Powłoki kontrolne pracowały jak marzenie. Agee wcisnął kurs i ustawił przyrząd kontroli lotu.

I wtedy poczuł, że coś uderza o jego stopę. Spojrzał w dół i ze zdziwieniem odnotował prawie trzycalową warstwę gęstego, cuchnącego oleju na pokładzie.

Solidny wyciek. Agee'emu nie mieściło się w głowie, żeby taki porządny statek mógł mieć taką wadę. Odpiął pasy i zaczął szukać źródła wycieku.

Znalazł je bez trudu. W pokładzie były cztery małe ujścia i każdym z nich gładko, równomiernie, bił strumień oleju.

Agee wcisnął guzik otwierający drzwi kabiny, ale drzwi ani drgnęły. Odrzucając panikę, Agee starannie obejrzał drzwi.

Powinny były się otworzyć.

Nie otwierały się.

Olej już prawie sięgał jego kolan.

Agee uśmiechnął się idiotycznie. Co za głupiec z niego! Kabinę pilota zamykało się z konsoli.

Zwolnił blokadę i wrócił do drzwi.

Nadal nie chciały się otworzyć.

Agee szarpał je z całych sił, ale drzwi były niewzruszone. Wrócił do deski rozdzielczej. Kiedy znaleźli statek, oleju nie było. Co znaczy, że gdzieś musi być odpływ.

Zanim znalazł odpływ, olej sięgał mu do pasa. Potem znikł prawie natychmiast. A kiedy tylko olej znikł, drzwi otworzyły się z łatwością.

- Co jest? - zapytał Barnett.

Agee powiedział mu.

- A więc to tak wygląda jego sposób! - powiedział cicho Barnett. - Dobrze wiedzieć.

- Sposób na co? - spytał Agee, czując, że Barnett traktuje całą sprawę zbyt lekko.

- Sposób na to, żeby wytrzymać przyspieszenie przy starcie. To mnie dręczyło. Przecież na pokładzie nie ma nic na kształt łóża czy leżanki. Nawet krzesel nie ma - do czego tu się przypasać?

Dlatego on pływa sobie w oleistej kąpeli, której kurki włączają się automatycznie z chwilą gotowości maszyny do lotu.

- Ale dlaczego drzwi nie dawały się otworzyć? - pytał dalej Agee.

- To przecież oczywiste - uśmiechnął się Barnett. - Nie chciał, żeby nu olej zalał cały statek. Albo żeby przypadkiem nie spłynął z pokładu.

- Nie możemy startować - zawyrokował Agee.

- A to dlaczego?

- Ponieważ nie jestem szczególnie mocny w oddychaniu olejem. Dopływ oleju włącza się automatycznie razem z mocą i nie ma siły, żeby go wyłączyć.

- Rusz głową - poradził mu Barnett. - Wystarczy, że zablokujesz otwarty odpływ: co się należy, to natychmiast spłynie.

- Rzeczywiście, to mi nie przyszło do głowy - przyznał ze skruchą Agee.

- No to do roboty.

- Chciałbym się najpierw przebrać.

- Nie. Oderwij ten cholerny statek od ziemi.

- Ale, kapitanie...

- Ruszaj - rozkazał Barnett. - Zdaje mi się, że ten obcy coś kombinuje.

Agee wzruszył ramionami, wrócił do kabiny pilota i zapiął pasy.

- Gotowi?

- Tak, ruszaj wreszcie.

Agee zablokował odpływ i olej rozpoczął bezpieczną cyrkulację, nie wznosząc się ponad poziom butów pilota. Bez dalszych komplikacji Agee uruchomił resztę przyrządów.

- Jazda.

Nastawił na minimalne przyspieszenie i dmuchnął w opuszki palców - na szczęście.

Wcisnął start.

Kalen z głębokim żalem patrzył na swój oddalający się statek. Bombę tetnitową nadal trzymał w ręku.

Zdążył dojść do statku, przez parę sekund nawet pod nim stał. Po czym odczołgał się z powrotem do wraku obcych. Nie zdobył się na podłożenie bomby.

Parę godzin nie wystarczyło na pokonanie kilkusetletnich uwarunkowań.

Uwarunkowań - owszem, ale i czegoś jeszcze.

Nieliczni przedstawiciele każdej rasy mordują dla przyjemności. Z drugiej strony, istnieje szereg powodów usprawiedliwiających zabójstwo, i to takich, które uznałby każdy filozof.

Jeżeli się je jednak raz zaakceptuje, takich powodów natychmiast rodzi się więcej, i coraz więcej. Morderstwo raz zaakceptowane staje się nie do powstrzymania. Nieuchronnie prowadzi do wojny, i dalej, do unicestwienia.

Kalen czuł, że to morderstwo wpłynęłoby w jakiś sposób na los jego rasy.

Powstrzymanie się od zabójstwa wydało mu się nieomal kwestią jej przetrwania.

Mimo wszystko, nie poprawiło mu to samopoczucia.

Patrzył, jak jego statek zmienia się w kropkę na niebie. Obcy oddalali się w śmiesznie powolnym tempie. Nie widział po temu żadnego usprawiedliwienia - chyba że chcieli mu dokuczyć.

Bez wątpienia mieli w sobie dość sadyzmu na coś takiego.

Kalen wrócił na statek. Wola życia była w nim silniejsza niż kiedykolwiek.

Nie miał zamiaru się poddawać. Postanowił za wszelką cenę czepiać się życia, w nadziei - jednej na milion - że kiedyś ktoś jeszcze odwiedzi planetę.

Rozejrzał się i uznał, że może sprokurować namiastkę powietrza ze środka czyszczącego oznakowanego czaszką. Wystarczy na dzień, może dwa. A gdyby jeszcze zdołał otworzyć orzech kerla...

Zdawało mu się, że słyszy coś na zewnątrz. Skoczył sprawdzić. Niebo było puste. Statek zniknął.

Kalen był sam.

Znów wrócił na obcy statek i podjął żmudne zadanie utrzymania się przy życiu.

Odzyskawszy przytomność, Agee stwierdził, że tuż przed omdleniem zdołał zredukować przyspieszenie do połowy. Tylko to uratowało mu życie.

Nawet obecne przyspieszenie, oscylujące tuż nad punktem zero, było nieznośnie ciężkie! Agee odpiętował drzwi i przeczołgał się do sąsiedniego pomieszczenia.

Barnetta i Victora przy starcie wystrzeliło z pasów. Victor właśnie odzyskiwał przytomność.

Barnett podnosił się ze sterty pogniecionych skrzyń.

- Co ty sobie myślisz, że w cyrku jesteś? - zrzędził Barnett. - Mówiłem przecież: przyspieszenie minimum.

- Startowałem z przyspieszeniem minimum - poinformował go Agee. - Idź, sam sobie poczytaj zapis.

Barnett pomaszerował do kabiny pilota. Zaraz wrócił.

- Kiepska sprawa. Nasz przyjaciel podróżuje tym statkiem z przyspieszeniem trzykrotnie wyższym od naszego.

- Na to wygląda.

- Nie pomyślałem o tym - zasepił się Barnett. - W takim razie on musi pochodzić z ciężkiej planety, z takiego miejsca, gdzie trzeba startować błyskawicznie, żeby się w ogóle odczepić od podłoża.

- Coś mnie uderzyło - poskarżył się Victor, rozcierając głowę.

W ścianie coś pstryknęło. Statek ożył na całego, urządzenia automatycznie wkraczały do akcji.

- Ciepło się robi, nie? - zagadnął Victor.

- Owszem, i gęstawo - dodał Agee. - Zwyczajka ciśnienia.

Wrócił do kabiny pilota. Barnett i Victor stali w drzwiach i obserwowali go w napięciu.

- Nie mogę tego wyłączyć - oświadczył Agee, ocierając pot, który strumieniem zalewał mu twarz.

- Temperatura i ciśnienie regulowane są automatycznie. Muszą wracać do "normy", kiedy statek leci.

- Wyłącz to cholerstwo - polecił Barnett. - Usmażymy się tutaj jak zaraz nie wyłączysz.

- Nie ma jak.

- Przecież gdzieś musi być regulator ciepła.

- Owszem - tutaj - wskazał Agee. - Już skręcony do minimum.

- Myślisz, że jaką on ma normalną temperaturę? - zapytał Barnett.

- Wolę nie myśleć - powiedział Agee. - Ten statek jest zbudowany z wyjątkowo trudnych stopów. Wytrzymałby ciśnienie dziesięciokrotnie wyższe niż statek ziemski. Uwzględniając oba te czynniki...

- To się musi dać wyłączyć! - Barnett zdarł z siebie kurtkę i koszulę. Temperatura szybko wzrastała, pokład był już tak rozgrzany, że ledwo można było na nim ustać.

- Wyłącz to! - zawył Victor.

- Momencik - odpowiedział Agee. - Nie ja budowałem ten statek. Skąd mam wiedzieć...

- Dostyc! - Victor darł się, potrząsając Ageem jak szmacianą lalką. - Dostyc!

- Puszczaj! - Agee wyciągnął miotacz do połowy. I nagle, w przypływie natchnienia, wyłączył silniki statku.

Pstrykanie w ścianach umilkło. Pomieszczenie zaczęło się ochładzać.

- Co jest? - zapytał Victor.

- Temperatura i ciśnienie spadają po wyłączeniu mocy - wyjaśnił Agee. - Nic nam nie grozi, dopóki znów nie włączymy silników.

- Kiedy możemy zawinąć do najbliższego portu? - spytał Barnett.

Agee liczył w myślach.

- Za jakieś trzy lata - ocenił. - Zapędziliśmy się dostyc daleko.

- Nie dałoby się powyrywać tych urządzeń? Odłączyć?

- Są wmontowane w bebechy statku - powiedział Agee. - Potrzebowalibyśmy całej narzędziowni i fachowej pomocy. A nawet wtedy nie byłoby to proste.

Barnett przez dłuższą chwilę nic nie mówił. W końcu odezwał się.

- No dobra.

- Co dobra?

- Daliśmy dupy. Trzeba wracać na tamtą planetę i brać stary statek.

Agee odetchnął z ulgą i wcisnął nowy kurs na zapisie statku.

- Myślisz, że obcy nam go odda? - zapytał Victor.

- Na pewno - powiedział Barnett. - Jeżeli w ogóle jeszcze żyje. Spodziewam się, że odzyskanie statku byłoby mu bardzo na rękę. Ale żeby wejść na swój statek musi zejść z naszego.

- No tak, kiedy jednak już wsiądzie na ten swój...

- Pomajstrujemy koło przyrządów - zdecydował Barnett. - To go chwilę powstrzyma.

- Chwilę - zgodził się Agee. - Ale prędzej czy później wystartuje, z pianą na ustach. Nigdy mu nie uciekniemy.

- Wcale nie musimy - powiedział Barnett. - Jedyne co musimy, to znaleźć się w górze wcześniej niż on. Kadłub ma mocny, ale trzy bomby atomowe to chyba będzie aż nadto.

- O tym nie pomyślałem - uśmiechnął się niemrawo Agee.

- Jedyne logiczne wyjście - powiedział Barnett niezbyt pewnym siebie tonem.

- Te stopy metali z kadłuba dalej będą sporo warte. A teraz spróbuj nas tam dowieźć z powrotem i nie usmażyć po drodze.

Agee włączył silniki. Wykonał ostry zwrot, ładując tyle atmosfer, ile tylko mogli wytrzymać.

Urządzenia towarzyszące włączały się pstrykając gęsto i temperatura momentalnie wzrosła.

Wykonawszy manewr, Agee skierował "Niezlomnego II" we właściwy punkt i zgasił silniki.

Większość drogi pokonali bez pomocy silników. Dopiero kiedy zbliżali się do planety, Agee musiał ponownie włączyć moc, żeby wprowadzić statek w spiralę deceleracyjną i zejść do lądowania.

Ledwo wygramolili się ze statku, cali w pęcherzach, buty przepalone na wylot. Nie było czasu na figle z przyrządami obcego.

Schowali się w lesie i czekali.

- Może wykitował - odezwał się z nadzieją Agee.

Zobaczyli małą figurkę wyłaniającą się z "Niezlomnego I". Obcy poruszał się powoli, ale zdecydowanie mógł się poruszać.

Obserwowali go.

- A jeżeli on - odezwał się Victor - zbudował sobie broń? Jak nas zacznie gonić?

- A jakbyś ty się tak zamknął, co? - odpowiedział mu Barnett.

Obcy pomaszerował wprost do swojego statku. Zniknął wewnątrz, zamknął wszystkie otwory.

- No dobra - Barnett wstał z miejsca. - Trzeba się spieszyć. Agee, ty się zajmiesz sterami. Ja połączę stosy. Victor zabezpieczy otwory. Tempo!

Puścili się biegiem przez równinę i w parę sekund dopadli otwartej śluzy "Niezlomnego I".

Nawet gdyby Kalen chciał się pospieszyć, nie miał na razie dość sił na poprowadzenie statku. Ale wiedział, że wewnątrz pojazdu jest bezpieczny. Żaden obcy nie wdrze się przez zabezpieczone otwory.

Znalazł zapasowy kanister z powietrzem i otworzył go. Wnętrze zapełniło się gęstym, życiodajnym żółtym gazem. Przez kilka długich minut Kalen tylko oddychał i oddychał.

Potem przetrzął do Zgniatacza trzy największe orzechy kerla. Zgniatacz je rozłupał.

Kiedy Kalen zjadł, poczuł się o wiele lepiej. Dał się rozebrać Rozbierakowi z zewnętrznej powłoki. Druga skóra też była martwa, więc i tę Rozbierak rozplątał na pół, ale trzeciej, żywej warstwy, już nie ruszył.

Kalen, jak nowy, wślizgnął się do kabiny pilota.

Teraz już miał pewność, że obcy ulegli chwilowemu szaleństwu. Inaczej nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego wrócili i oddali mu statek.

A więc musi odszukać ich władze i podać im położenie planety. Niech znajdą swoich i wyleczą ich, raz na zawsze.

Kalen czuł się bardzo szczęśliwy. Nie odstąpił od zasad etyki mabogiańskiej, a to było

najważniejsze. Jakże łatwo mógł im podrzucić na pokład bombę tetnitową, z precyzyjnie ustawionym zegarem. Mógł zniszczyć ich silniki. I miał takie pokusy.

Ale nie uległ im. Nie zrobił nic złego.

Sporządził tylko kilka substancji niezbędnych do ratowania własnego życia.

Kalen ożywił przyrządy i stwierdził, że wszystkie funkcjonują bez zarzutu.

Płyn akceleracyjny zaczął się wlewać do kabiny z chwilą włączenia stosów.

Victor pierwszy dopadł włazu i wskoczył do środka. Wyrzuciło go z powrotem.

- Co jest? - zapytał Barnett.

- Coś mnie uderzyło - powiedział Victor.

Ostrożnie zajrzeli do środka.

Zobaczyli misternie wykonaną śmiertelną pułapkę: wejście zagradzały połączone szeregowo przewody akumulatorów. Gdyby Victor oparł się o ścianę, zostałby momentalnie porażony prądem.

Przecięli obwód i weszli do środka.

Bałagan był nieopisany. Wszystko, co można było ruszyć z miejsca, zostało ruszone i rzucone byle gdzie. W kącie leżał zgięty łom. Silny kwas był porozlewany po podłodze, w kilku miejscach przeżarł ją na wylot. Stary kadłub "Niezlomnego" świecił dziurami.

- Kto by pomyślał, że to on nas tak załatwi! - odezwał się Agee.

Sprawdzali dalej. W pobliżu ogona tkwiła druga pułapka: drzwi do ładowni zostały zręcznie przymocowane do startera. Wystarczyło dotknąć, żeby z impetem odskoczyły na ścianę.

Ktokolwiek by się tam znalazł, zostałby sprasowany na placek.

Znaleźli jeszcze szereg innych pułapek, o niejednoznacznym przeznaczeniu.

- Da się naprawić? - spytał Barnett.

Agee wzruszył ramionami.

- Większość narzędzi została na "Niezlomnym II". Może w rok da się jako tako połatać. Ale trudno

przewidzieć, czy kadłub wytrzyma.

Wyszli na zewnątrz. Obcy statek właśnie odpalał.

- Co za monstrum! - powiedział Barnett, patrząc na poprzęieraną kwasem powłokę swojego statku.

- Z obcymi nigdy nic nie wiadomo - zgodził się Agee.

- Dobry obcy, to martwy obcy - podsumował Victor.

"Niezlomny I" był teraz równie niezrozumiały i niebezpieczny jak "Niezlomny II".

A "Niezlomnego II" nie było.

Bunt łodzi ratunkowej

- No, powiedzcie prawdę. Czy widzieliście kiedy wspanialsze silniki? - spytał Joe, międzygwiazdny handlarz starzyzną. - I spójrzcie tylko na te serwa!

- Hm... - mruknął ostrożnie Gregor.

- I na kadłub - dodał miękko Joe. Poklepał czule lśniąca burtę łodzi. Co za szczęście, zdawał się mówić każdym z tych klepięć, że ten pływający klejnot trafił się tu właśnie wtedy, gdy "As" potrzebuje łodzi ratunkowej. - Prezentuje się rzeczywiście nieźle - przyznał Joe z wystudiowaną miną człowieka, który właśnie się zakochał i ze wszystkich sił próbuje tego nie okazać. - Co o tym myślisz, Dick?

- Richard Gregor nie odpowiedział. Łódź mu się podobała i odniósł wrażenie, że idealnie nadawała się do prac oceanograficznych na Tridencie. Ale do towaru Joego należało podchodzić z rezerwą.

- Dziś już takich po prostu nie budują - westchnął Joe. - Spójrzcie na blok napędowy. Nie przedziurawi go nawet młotem spadowym. Zobaczcie, jaka wydajność układu chłodzenia.

Przyjrzyjcie się...

- Ona naprawdę wygląda nieźle... - powiedział powoli Gregor. Międzyplanetarna Służba Asenizacyjna "As" miewała już do czynienia z Joem i nauczyło ją to ostrożności. Wcale nie

dlatego, że Joe był nieuczciwy, skądże znowu. Rupiecie gromadzone przez niego ze wszystkich zakątków zamieszkanego wszechświata działały. Ale te starożytne maszyny miały często własne poglądy na to, jak powinna być wykonana robota, a zmuszane do zmiany utartych przyzwyczajęń, bywały zrzędlive i skore do popadania w irytację.

- ...ale dla mnie nie musi ona być ani piękna, ani wytrzymała, czy nawet wygodna - ciągnął prowokująco Gregor. - Chcę mieć za to absolutną pewność, że jest bezpieczna.

Joe skinął głową.

- To oczywiście sprawa podstawowa - powiedział. - Wejdźmy do środka.

Przez wąskie drzwi przesunęli się do kabiny. Joe podszedł do tablicy kontrolnej i uśmiechając się tajemniczo, nacisnął jeden z klawiszy.

W tej samej chwili Gregor usłyszał jakiś głos, który zdawał się rozlegać we wnętrzu jego głowy: - Jestem łódź ratunkowa 342-A. Moim podstawowym zadaniem...

- Telepatia? - przerwał Gregor.

- Bezpośredni przekaz zapisu - odparł Joe, uśmiechając się ponownie, tym razem z widoczną dumą. - W ten sposób nie ma żadnych barier językowych. Mówiłem wam, że dziś się już takich nie buduje.

- Jestem łódź ratunkowa 342-A - podjęła swój przekaz maszyna. - Moim podstawowym zadaniem jest ochrona przed wszelakim niebezpieczeństwem i zachowanie w pełnym zdrowiu tych, którzy znajdują się na moim pokładzie. W tej chwili jestem uruchomiona tylko częściowo.

- Czy może być coś bezpieczniejszego?! - zawołał Joe. - To nie jest żadna nieczuła bryła metalu. Ta łódź będzie się wami opiekowała. Ona o was zadba!

Słowa łodzi wywarły na Gregorze silne wrażenie, choć sama myśl o korzystaniu z łodzi wyposażonej w zdolność odczuwania napełniła go czymś w rodzaju obrzydzenia. Ale też takie paternalistyczne gadgety zawsze go irytowały.

Arnold nie miał żadnych podobnych odczuć.

- Weźmiemy ją! - wykrzyknął.

- I nie będziecie tego żałować - pochwalił tę decyzję Joe, a w jego głosie zadźwięczała ta sama szczerza i otwarta nuta, która wybitnie dopomogła mu w zbiciu wielu z jego milionów.

I Gregor miał nadzieję, że nie będą żałować.

Następnego dnia ŁR-342-A została załadowana na pokład ich statku kosmicznego, który niezwłocznie odpalił w kierunku Tridentu.

Planeta Trident, położona w samym środku Doliny Wschodniej Gwiazdy, została ostatnio zakupiona przez spekulanta nieruchomości, który uznał ją za niemal idealną do kolonizacji.

Wielkością przypominała Marsa, lecz panujący na niej klimat o wiele bardziej sprzyjał prowadzeniu akcji zasiedlania. Nie posiadała żadnej tubylczej ludności, którą trzeba byłoby wypierać, żadnych trujących roślin, żadnych bakterii chorobotwórczych. I w przeciwieństwie do wielu światów, na Tridencie nie było drapieżnych zwierząt. Prawdę mówiąc, nie było na nim w ogóle żadnych zwierząt. Poza jedną małą wyspą i czapą polarną całą powierzchnię planety pokrywał jeden wielki ocean.

Niemniej brak lądów był w znacznej mierze czysto pozorny; wiele mórz Tridentu można było przejść w bród. Łądy po prostu nie wypiętrzyły się jak trzeba.

Eksperci "As" uzyskali zlecenie na skorygowanie tej drobnej usterki.

Natychmiast po wylądowaniu na jedynej wyspie Tridentu przystąpiono do spuszczenia łodzi na wodę. Pozostałą część dnia zajęło sprawdzanie i przenoszenie na jej pokład specjalnej aparatury pomiarowo-badawczej. Wczesnym rankiem następnego dnia Gregor przygotował kanapki i napełnił wodą manierkę.

Wszystko było gotowe do rozpoczęcia prac.

Odczepiwszy liny cumownicze, Gregor zszedł do Arnolda, do kabiny łodzi. Z przesadnym

namaszczeniem Arnold wcisnął pierwszy guzik.

- Jestem łódź ratunkowa 342-A - nadała telepatycznie łódź. - Moim podstawowym zadaniem jest ochrona przed wszelkim niebezpieczeństwem i zachowanie w pełnym zdrowiu tych, którzy znajdują się na moim pokładzie. W chwili obecnej jestem uruchomiona tylko częściowo. Dla uzyskania pełnego rozruchu proszę wcisnąć klawisz oznaczony numerem dwa.

Gregor dotknął drugiego przycisku.

Gdzieś we wnętrzu łodzi rozległ się stłumiony chrobot. Poza tym nie nastąpiło zupełnie nic.

- To dziwne - powiedział Gregor. Ponownie wcisnął klawisz i ponownie odpowiedział mu jedynie stłumiony brzęk.

- Na moje ucho to coś jakby zwarcie - postawił diagnozę Arnold. Spoglądając przez bulaj, Gregor zobaczył oddalający się z wolna brzeg wyspy. Poczuł, że oblatuje go strach - na tej planecie było tak wiele wody, a tak mało lądu.

Co gorsza, żadne z urządzeń kontrolnych na płycie rozdzielczej nie przypominało w niczym koła sterowego czy rumpla, żadne nie wyglądało na sprzęgło ani na dźwignię gazu. Jak, u licha, prowadzi się "częściowo uruchomioną" łódź?

- Musi być sterowana telepatycznie - orzekł w końcu z nadzieją w głosie, po czym dodał już bardziej stanowczo: - Powoli naprzód.

Małą łódź ruszyła przed siebie.

- Teraz trochę w prawo.

Łódź idealnie reagowała na jasne, choć niezbyt żeglarskie komendy Gregora.

Wspólnicy wymienili uśmiechy.

- Wyprostuj - rozkazał Gregor - i ruszaj pełnym gazem naprzód.

Łódź pomknęła przez rozmigotane, puste morze.

Uzbrojony w latarkę i próbnik do sprawdzania obwodów, Arnold zniknął w luku prowadzącym do

maszynowni łodzi. Prowadzenie badań było na tyle proste, że Gregor mógł sobie doskonale radzić w pojedynkę. Wszystkie prace wykonywały maszyny, same kreśląc mapę dna morskiego, zaznaczając na niej przebieg ważniejszych uskokiów i lokalizację najbardziej obiecujących wulkanów, a także kierunki prądów morskich i pionowe ukształtowanie wypiętrzeń. Po zakończeniu prac przygotowawczych następny etap robót miał zostać zlecony podwykonawcy. To on odtruje wulkany, obsieje uskoki, po czym, z bezpiecznej odległości, naciśnie odpowiedni guzik.

I wtedy na pewien czas Trident stanie się miejscem ogromnie hałaśliwym.

A później, wraz z powrotem ciszy, planeta będzie miała już dość suchego lądu, by zadowolić nawet najwybredniejszego handlarza nieruchomości.

Wczesnym popołudniem Gregor uznał, że jak na pierwszy dzień, wykonali już dość prac kartograficznych. Zjedli z Arnoldem kanapki i popili je wodą z manierki. Potem zażyli krótkiej kąpieli w krystalicznie czystych zielonkawych falach Tridentu.

- Chyba już wiem, w czym problem - powiedział Arnold. - Ktoś usunął doprowadzenia do głównych aktywatorów. I przeciął kabel odprowadzający energię.

- A po co miałyby to robić? - zdziwił się Gregor.

Arnold wzruszył ramionami.

- Może to jeden z elementów rozbrojenia łodzi - zasugerował. - Naprawa nie zajmie mi dużo czasu.

Wczołgał się z powrotem do maszynowni.

Gregor zawrócił telepatycznie łódź w kierunku wyspy, obserwując, jak jej dziób tnie rażno fale, zmieniając je w dwie wstęgi zielonkawej piany. W chwilach takich jak ta, wbrew wszystkim doświadczeniom przeszłości, wszechświat wydawał mu się miejscem pięknym i przyjaznym.

Pół godziny później Arnold wyłonił się z luku, umorusany smarem, lecz z triumfem w oczach.

- Wypróbuj ten klawisz teraz - powiedział.

- Przecież jesteśmy już prawie u brzegów wyspy - powiedział.

- No to co? Nie zaszkodzi doprowadzić tę łódź do pełnej sprawności.

Gregor skinął głową i wcisnął drugi klawisz.

Usłyszeli serię delikatnych piknięć towarzyszących włączaniu się obwodów, a potem pomruk kilku podejmujących pracę urządzeń. Jakieś światło błysnęło ostrą czerwienią i mrugnawszy kilka razy, niemal natychmiast zgasło, dając znać, że zasilanie przejęły generatory.

- No, tak już lepiej - powiedział Arnold.

- Jestem łódź ratunkowa 342-A - oznajmiła telepatycznie łódź. - W tej chwili jestem już w pełni uruchomiona i mogę chronić tych, którzy znajdują się na moim pokładzie- Zaufajcie mi. Moje taśmy akcyjno-reakcyjne, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, zostały przygotowane przez najtęższe umysły Dromy.

- Człowiek zaraz czuje się znacznie pewniej, nie uważasz? - spytał Arnold.

- Tylko co to takiego ta Droma?

- Panowie - ciągnęła łódź - spróbujcie myśleć o mnie nie jak o bezdusznej maszynie, lecz jak o swoim przyjacielu i towarzyszu broni. Wiem, co czujecie.

Byliście świadkami zatonięcia własnego statku, podziurawionego jak rzeszoto przez bezlitosnych i nieprzejednanych H'genów. Ostatkiem sił wczółgaliście się...

- Jakiego statku? - spytał Gregor. - O czym ona mówi?

- ...wczółgaliście się na mój pokład, na wpół uduszeni zabójczymi oparami wody, ledwie żywi...

- Chodzi ci o tę naszą małą kąpiel? - spytał Arnold. - Wszystko ci się pomieszało. Prowadzimy tutaj prace oceanograficzne i...

- ...ledwie żywi od doznanego szoku, z podupadłym morale - dokończyła łódź.

- Być może jesteście trochę przestraszeni - dodała już znacznie łagodniej.

- Jeśli tak, to macie do tego absolutne prawo, pozbawieni kontaktu z flotą Dromy, rzućni na łaskę fal morza obcej planety, planety o tak surowym klimacie. Tej odrobiny strachu nie należy się wstydić, panowie. Ale to jest wojna, a wojna to okrutna rzecz. Nie mamy po prostu innego wyjścia, jak odeprzeć barbarzyńskich H'genów i zmusić ich do powrotu na własną planetę.

- Musi być jakieś sensowne wyjaśnienie tego jej bełkotu - powiedział Gregor. - Pewnie do jej banku reakcji zaplątał się jakiś stary scenariusz telewizyjny.

- Trzeba będzie zrobić jej generalny przegląd - zdecydował Arnold. - Nie możemy całymi dniami wysłuchiwać tych bredni.

Zbliźali się do wyspy. Łódź w dalszym ciągu plotła coś o domowych ogniskach, działaniach wymijających, manewrach taktycznych i potrzebie zachowania spokoju w sytuacjach tak krytycznych jak ta. I nagle zwolniła.

- O co chodzi? - spytał Gregor.

- Przeprowadzam inwigilację wyspy - odparła łódź.

Gregor i Arnold spojrzeli po sobie.

- Lepiej jej nie draźnić - szepnął Arnold, po czym głośniejszym głosem odezwał się do łodzi: - Ta wyspa jest w porządku. Sprawdziliśmy ją osobiście.

- Może i sprawdziliście - zaproponowała łódź - ale przy prowadzeniu nowoczesnych, błyskawicznych działań wojennych zmysłom Dromów nie należy dowierzać.

Są zbyt niedoskonałe, zbyt skłonne do takiej interpretacji faktów, która byłaby zgodna z ich życzeniami. Natomiast zmysły elektroniczne są beznamiętne, wiecznie czujne i, w granicach określonych ich zastosowaniem, bezbłędne.

- Ale tam nic nie ma! - zawołał Gregor.

- Dostrzegam obcy statek kosmiczny - odpowiedziała łódź. - Nie ma na nim znaków rozpoznawczych Dromów.

- Nie nosi także znaków wroga - zauważył Arnold z całkowitą pewnością siebie, ponieważ osobiście malował starożytny kadłub.

- To prawda, nie nosi. Ale w czasach wojny trzeba zakładać, że co nie należy do nas, należy do wroga. Rozumiem wasze pragnienie znalezienia się znów na stałym lądzie. Ale ja biorę pod uwagę czynniki, które ulegający emocjom Drom mógłby przeoczyć. Rozważam tę pozorną pustkę tak strategicznego kawałka lądu; obecność nie oznakowanego statku kosmicznego jakże kusząco wystawionego na przynętę; fakt, iż nasza flota nie operuje już w tych rejonach; to, że...

- W porządku, wystarczy. - Gregor miał już absolutnie dość tej dyskusji z wygadaną i egoistyczną maszyną. - Płyn prosto do wyspy. To rozkaz.

- Nie mogę wypełnić tego rozkazu - odparła łódź. - Umkniecie śmierci ledwo o włos wytrąciło was poważnie z równowagi...

Arnold sięgnął ręką do wyłącznika i natychmiast ją cofnął, wydając okrzyk bólu.

- Bądźcież, panowie, rozsądni - powiedziała łódź dość surowo. - Tylko wyższy rangą oficer z uprawnieniami do rozbrajania może mnie wyłączyć. Dla waszego dobra muszę was ostrzec, byście nie dotykali żadnego z moich urządzeń kontrolnych. Jesteście niezrównoważeni. Nieco później, kiedy znajdziemy się w bezpieczniejszej sytuacji, poddam was odpowiedniej kuracji. Na razie wszystkie swoje siły muszę poświęcić na wykrycie i uniknięcie wroga.

Nabrała gwałtownie szybkości i oddaliła się od wyspy, klucząc w niezwykle zawity sposób.

- Dokąd płyniemy? - spytał Gregor.

- Połączyć się z flotą Dromy! - zawołała łódź z taką pewnością siebie w głosie, że współnicy rozejrzeli się nerwowo po bezkresnych, absolutnie pustych wodach Tridentu.

- To znaczy, jak ją tylko odszukam - poprawiła się łódź.

Była już późna noc. Gregor i Arnold siedzieli obok siebie w kącie kajuty i łączyli jedli ostatnią kanapkę. Łódź w dalszym ciągu wściekle pruć fałę, wytężając maksymalnie wszystkie swoje

elektroniczne zmysły w poszukiwaniu floty, która pływała pięć wieków wcześniej na zupełnie innej planecie.

- Słyszałeś kiedyś o tych Dromach? - spytał Gregor.

Arnold przeszukiwał w pamięci swój pokaźny zasób wiedzy o mało istotnych wydarzeniach historycznych.

- Dromowie to istoty niehumanoidalne, produkt ewolucji jaszczurów - stwierdził. - Zamieszkiwały szóstą planetę pewnego niewielkiego układu w pobliżu Capelli. Całą rasę wymarła ponad sto lat temu.

- A ci H'genowie?

- Też jaszczury; ta sama historia - mruknął Arnold znajdując jakiś okruszek i wkładając go sobie do ust. - To nie była żadna znacząca wojna; wszyscy jej uczestnicy już dawno przestali istnieć. Najwyraźniej z wyjątkiem tej łodzi.

- No i nas - przypomniał mu Gregor. - Zostaliśmy wcieleni do armii Dromy.

- Westchnął ze znużeniem. - Czy myślisz, że uda nam się to tej balii wyperswadować?

Arnold pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Nie bardzo widzę jak. Z punktu widzenia tej łodzi wojna trwa nadal.

Wszystkie fakty interpretuje wyłącznie na podstawie tej przesłanki.

- Pewnie podsłuchuje nas nawet w tej chwili - powiedział Gregor.

- Nie przypuszczam. Ona chyba nie potrafi czytać wszystkich myśli. Centra percepcji musi mieć wyczulone wyłącznie na te skierowane bezpośrednio do niej.

- Miałeś pan rację, Joe - powiedział Gregor cierpko - dziś już się takich nie buduje. - Żałował, że nie może dostać w swoje ręce międzygwiazdowego handlarza starzyzną.

- Prawdę mówiąc, to bardzo interesująca sytuacja - podjął po chwili Arnold.

- Może nawet napiszę o tym do "Cybernetyki dla Wszystkich". Oto mamy maszynę wyposażoną w

niemal niezawodny system percepcji bodźców zewnętrznych. Odbierane przez nią impulsy są natychmiast logicznie przetwarzane w odpowiednie reakcje. Jedyne problem w tym, że zastosowana tu logika opiera się na nieistniejących już założeniach. Toteż można byłoby właściwie powiedzieć, że maszyna ta padła ofiarą usystematyzowanego układu złudzeń.

Gregor ziewnął.

- Chcesz powiedzieć, że ta łajba jest po prostu stuknięta - rzekł Gregor bez ogródek.

- Totalnie. Mam wrażenie, że paranoja byłaby odpowiednim rozpoznaniem. Ale już wkrótce będzie po wszystkim.

- Skąd masz tę pewność?

- To zupełnie jasne - odparł Arnold. - Imperatywem tej łodzi jest utrzymanie nas przy życiu. Zatem musi nas karmić. Po kanapkach nie ma już nawet śladu, a jedyne zapasy pożywienia znajdują się na wyspie. Wnioskuje stąd, że bę- dzie musiała zaryzykować i popłynąć z powrotem.

Kilka minut później poczuli, że łódź nabiera lekkiego przechyłu i zmienia kierunek.

- Ale tam nic nie ma! - zawołał Gregor.

- W tej chwili nie mogę zlokalizować floty Dromy - odebrali jej telepatyczny przekaz. - Dlatego też zawracam, by przeprowadzić szczegółową inwigilację wyspy. Na szczęście w bezpośrednim sąsiedztwie nie ma także wrogów. Mogę więc już z całą mocą mojej pełnej uwagi poświęcić się opiece nad wami.

- Widzisz? - mruknął Arnold, trącąc łokciem Gregora. - Dokładnie jak przewidywałem. Teraz trzeba tylko utwierdzić ją w przekonaniu, że dobrze robi. W samą porę sobie o nas przypomniałaś - powiedział do łodzi. - Jesteśmy głodni.

- Właśnie może byś nas nakarmiła - zażądał Gregor.

- Już się robi - nadała łódź i w tej samej chwili ze ściany wysunęła się jakaś taca. Znajdowała się na niej jakaś ciastowata bryła czegoś, co wizualnie przypominało glinę, lecz śmierdziało jak olej

maszynowy.

- Co to ma być? - spytał Gregor.

- To jest pryka - odparła łódź. - Podstawowe pożywienie wszystkich Dromów.

Potrafę ją przyrządzić na szesnaście różnych sposobów.

Gregor ostrożnie skosztował ciemnej mazi. Smakowała dokładnie jak glina zmieszana pół na pół z olejem maszynowym.

- Tego nie da się jeść! - zaprotestował.

- Oczywiście, że się da - powiedziała łódź tonem łagodnej perswazji. - Dorosły Drom spożywa pięć i trzy dziesiąte funta pryki dziennie i woła o jeszcze.

Taca przesunęła się w ich kierunku. Gregor i Arnold cofnęli się o krok.

- Chwileczkę - powiedział Arnold. - Posłuchaj. My nie jesteśmy Dromami.

Masz przed sobą ludzi, przedstawicieli zupełnie innego gatunku. Wojna, w której wydaje ci się, że bierzesz udział, zakończyła się pięćset lat temu.

My nie możemy jeść pryki. Nasza żywność znajduje się na wyspie.

- Panowie, spróbujcie zrozumieć sytuację. Złudzenie, któremu ulegacie, jest u żołnierzy czymś zupełnie powszechnym. To zwykły przypadek ucieczki w krainę wyobraźni, uchylecia się od percepcji sytuacji, której nie można znieść.

Panowie, błagam was na wszystko - spójrzcie w oczy rzeczywistości!

- To ty spójrz w oczy rzeczywistości! - zawołał Gregor. - Albo każę cię rozebrać na śrubki i trzpienie!

- Groźby nie mogą mnie wytrącić z równowagi - nadała pogodnie łódź. - Wiem, przez co przeszlście. Istnieje nawet możliwość, że kontakt z trującymi wyziewami wody spowodował u was trwałe uszkodzenia mózgu.

- Trującymi... - szepnął Gregor, czując, że coś go chwyta za gardło.

- Według kryteriów Dromów - przypomniał mu Arnold.

- Jeśli okaże się to absolutnie nieodzowne - ciągnęła łódź - to mam pełne wyposażenie do przeprowadzenia chirurgicznej operacji mózgu. To środek bardzo drastyczny, ale w czasach wojny nie można się zbyt pieścić.

W tym momencie odskoczyła jakaś klapa i oczom współników ukazał się rząd połyskujących ostrzy chirurgicznych.

- Czujemy się już znacznie lepiej - powiedział pospiesznie Gregor. - Ta partia pryki wygląda rzeczywiście wspaniale, nie uważasz, Arnold?

- Bardzo smakowicie - powiedział Arnold, krzywiąc się niemiłosiernie.

- Swego czasu wygrałam ogólnoplanetarny konkurs kulinarny - wyznała telepatycznie łódź ze zrozumiałą dumą. - Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłabym dla naszych chłopców w mundurach. Bardzo proszę, próbujcie.

Gregor wziął z tacy garść pryki, rozsmarował sobie trochę na wargach i dyskretnie upuścił resztę na podłogę.

- Pycha - powiedział, mając nadzieję, że wewnętrzne czujniki łodzi są mniej sprawne niż jej sensory zewnętrzne.

Najwyraźniej były.

- To świetnie - powiedziała łódź. - Kieruję się w tej chwili na wyspę. Aha, obiecuję wam także, że już za chwilę warunki staną się dla was znacznie bardziej znośne.

- Jakie warunki? - spytał Arnold.

- Panująca tu temperatura jest zabójczo wysoka. Zdumiewa mnie, że do tej pory nie zapadliście w letarg. Każdy inny Drom już by to zrobił. Wytrzymajcie proszę jeszcze chwilę. Już wkrótce obniżę ją do normalnych dla Dromy - dwudziestu stopni poniżej zera. A teraz, dla podtrzymania waszego morale, zagram wam nasz hymn narodowy.

Powietrze wypełnił upiorny, miarowy skrzek. Z zewnątrz dobiegał stłumiony plusk fal, bijących o kadłub rozpędzonej łodzi. Już w kilka chwil później w kajucie zrobiło się wyraźnie zimniej.

Gregor zamknął ze znużenia oczy, próbując ignorować chłód pełzający wzdłuż rąk i nóg. Zaczynał być śpiący. Takie już moje szczęście, pomyślał, że dam się zamrozić na śmierć wewnątrz jakiejś chorej umysłowo łodzi. Oto skutki kupowania paternalistycznych gadżetów, przeczulonych, humanistycznych kalkulatorów, przewrażliwionych, emocjonalnych maszyn.

Zapadając w półsen zaczął się zastanawiać, do czego to wszystko doprowadzi.

Przed oczyma stanął mu ogromny szpital dla maszyn. Dwóch robotów-lekarzy pchało długim białym korytarzem, leżącą na łóżku kosiarkę. Naczelny robot-lekarz spytał: - Cóż to dolega temu chłopcu?

- Zupełnie zszedł zmysły - odparł asystent. - Myśli, że jest śmigłowcem.

- Aha! - powiedział naczelny uczenie. - Deluzja psychomotoryczna! Szkoda.

Taki sympatyczny facet.

Asystent skinął głową.

- To wszystko z przepracowania - stwierdził stanowczo. - Serce mu pękło na kępie sitowia.

Kosiarka poruszyła się niespokojnie.

- A teraz jestem trzepaczką do jajek! - zachichotała. - Trach, trach, trach!

- Obudź się - powtórzył Arnold, szczekając zębami i jeszcze raz potrząsnął Gregorem. - Musimy coś zrobić.

- Poproś ją, żeby włączyła ogrzewanie - zaproponował Gregor słabo.

- Nie da rady. Dromowie żyją w temperaturze minus dwadzieścia; my jesteśmy Dromami; minus dwadzieścia jest dla nas w sam raz i nie ma co pyskować.

Biegnące w poprzek całej łodzi przewody aparatury chłodzącej pokryła gruba warstwa szronu.

Ściany zaczynały robić się białe, a na szyby iluminatora wypełził mróz.

- Mam pewien pomysł - odezwał się ostrożnie Arnold. Rzucił okiem na tablicę kontrolną, po czym szepnął coś Gregorowi do ucha.

- Możemy spróbować - odparł Gregor. Podniósł z podłogi manierkę z wodą, po czym obaj współnicy wstali i odeszli w najdalszy kąt kajuty.

- Co tam robicie? - spytała ostro łódź.

- Mamy zamiar trochę poćwiczyć - wyjaśnił Gregor. - Żołnierze Dromy muszą dbać o zachowanie sprawności fizycznej, sama o tym wiesz.

- To prawda - potwierdziła niepewnie łódź.

Gregor rzucił manierkę do Arnolda.

Arnold zachichotał i odrzucił manierkę Gregorowi.

- Tylko ostrożnie z tym pojemnikiem - ostrzegła łódź. - Jest napełniony śmiertelną trucizną.

- Będziemy uważać - odparł Gregor. - Zabieramy ją ze sobą do kwatery głównej. - Rzucił manierkę do Arnolda.

- Dowództwo naczelne może kazać ją rozpylić nad armią H'genów - dodał Arnold.

- Naprawdę? - zaciekawiła się łódź. - To interesujące. Nowe zastosowanie tej...

Nagle Gregor rzucił manierkę w przewody chłodzące. Rura pękła i wypełniająca ją ciecz zaczęła spływać na podłogę.

- Fatalny rzut, staruszk - powiedział Arnold.

- Ależ ze mnie niezdara! - zawołał Gregor.

- Powinna była podjąć środki zabezpieczające przed przed wypadkami na pokładzie - nadała łódź posępnie. - To już się nie powtórzy. Ale sytuacja jest bardzo poważna. Nie jestem w stanie własnymi siłami naprawić tych przewodów.

Nie jestem w stanie odpowiednio chłodzić kabiny.

- Gdybyś wysadziła nas na brzegu wyspy - zaczął Arnold - tylko na chwilę...

- To wykluczone! - zawołała Łódź. - Moim podstawowym zadaniem jest utrzymanie was przy życiu, a w klimacie tej planety zginęlibyście prawie natychmiast. Dlatego też będę musiała podjąć odpowiednie środki dla zapewnienia wam bezpieczeństwa.

- Co masz zamiar zrobić? - spytał Gregor, czując, że żołądek kurczy mu się ze strachu.

- Nie mam ani chwili do stracenia. Zbadam jeszcze raz całą wyspę. Jeśli nie wykryję na niej żadnych śladów naszych wojsk, popłyniemy do jedyne go miejsca na tej planecie, gdzie panują warunki odpowiednie do utrzymania przy życiu Dromów.

- To znaczy gdzie?!

- W okolicy południowej czapy polarnej - odparła Łódź. - Tamtejsza temperatura jest niemal idealna. Szacuję, że jakieś trzydzieści stopni poniżej zera.

Silniki ryknęły na podwójnych obrotach, a Łódź dodała tonem usprawiedliwienia: - I oczywiście muszę się zabezpieczyć przed dalszymi wypadkami na moim pokładzie.

Kiedy ruszyła pełną szybkością w kierunku wyspy, usłyszeli ciche szczęknięcie zamków, odcinających im drogę wyjścia z kabiny.

- Myśl! - ponaglił Arnold.

- Nic innego nie robię - warknął Gregor. - Tyle że nic mi z tego nie wychodzi.

- Musimy się z niej wydostać, kiedy podpłynie do wyspy. To będzie nasza ostatnia szansa.

- Może udałoby się nam jakoś wyskoczyć za burtę? - zasugerował Gregor.

- Mowy nie ma. Nie spuszcza nas już z oka. Gdybyś nie rozwalił tej rury chłodzącej, pewnie mielibyśmy jeszcze jakąś szansę.

- Tak, wiem - mruknął Gregor cierpko. - Ty i te twoje pomysły!

- Moje pomysły! Dokładnie przypominam sobie, że to była twoja propozycja.

Powiedziałeś...

- Mniejsza o to, czyj to był pomysł - przerwał mu ugodowo Gregor, pogrążając się w

rozmyślaniach. - Słuchaj, wiemy już, że jej czujniki wewnętrzne nie są najlepsze. Może udałoby się przeciąć jakoś kabel energetyczny, kiedy znajdziemy się koło wyspy.

- Nie da ci podejść do niego bliżej niż na kilka stóp - odparł Arnold, ciągle jeszcze mając świeżo w pamięci kopnięcie prądem, jakim potraktowała go łódź, kiedy próbował ją wyłączyć.

- Hmm... - mruknął Gregor, ściskając z całej siły obiema rękami czoło.

Gdzieś w zakamarkach mózgu zaczynał mu kiełkować pewien pomysł. Był jeszcze dość nie sprecyzowany, ale biorąc pod uwagę okoliczności...

- Dokonuję teraz szczegółowego badania wyspy - oznajmiła łódź.

Wyglądając przez bulaj, Gregor i Arnold ujrzeli brzeg wyspy oddalony od nich o mniej więcej sto jardów. Na niebie nad horyzontem kładła się pierwsza poświata nadchodzącego świtu, a od jej tła wyraźnie odcinało się pokryte bliznami, ukochane dziobisko ich statku.

- Mnie ta wyspa wydaje się zupełnie w porządku - powiedział Arnold.

- Mnie też - poparł go Gregor. - Założę się, że nasze oddziały okopały się pod ziemią.

- Niestety nie - nadała ze smutkiem łódź. - Zbadałam całą powierzchnię do głębokości stu stóp.

- No cóż - powiedział Arnold - w tych okolicznościach powinniśmy chyba sprawdzić to nieco dokładniej. Najlepiej będzie, jeśli sam zejdem na brzeg i trochę się rozejrzę.

- Wyspa jest opuszczona - oznajmiła stanowczo łódź. - Naprawdę możecie mi wierzyć, że moje zmysły są nieskończenie bardziej wyczulone niż wasze. Nie mogę dopuścić, byście narażali życie, schodząc na brzeg. Droma potrzebuje swoich żołnierzy, zwłaszcza takich jak wy, odpornych na upał śmiałków.

- Nam ten klimat bardzo odpowiada - powiedział Arnold.

- Oto słowa godne patrioty! - nadała łódź serdecznie. - Wiem, jak bardzo musicie cierpieć. Ale już ruszam na biegun południowy, a tam znajdziecie wreszcie, dzielni weterani, tak bardzo zasłużony odpoczynek.

Gregor uznał, że najwyższy czas wprowadzić w życie własny plan, choćby był nie wiadomo jak bardzo nie sprecyzowany.

- To nie będzie potrzebne - powiedział.

- Co?

- Działamy zgodnie z rozkazem specjalnym - wyjaśnił. - Otrzymaliśmy polecenie nie ujawniać tego żadnej jednostce pływającej poniżej rangi pancernika.

Ale w tych okolicznościach...

- Właśnie - zawtórował mu skwapliwie Arnold - w tych okolicznościach będziemy musieli cię z nimi zapoznać.

- Jesteśmy żołnierzami jednostki samobójczej - powiedział Gregor.

- Szkolonymi specjalnie do zadań w gorącym klimacie.

- Mamy rozkaz wylądowania na tej wyspie i zabezpieczenia jej dla wojsk Dromy.

- Nic o tym nie wiedziałam - odparła Łódź.

- Bo nie widzieliśmy potrzeby, żeby ci o tym mówić - wyjaśnił Gregor. - W końcu jesteś tylko łodzią ratunkową.

- Natychmiast wysadź nas na brzeg - rozkazał Gregor. - Nasza misja to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

- Trzeba mi było powiedzieć o tym wcześniej - powiedziała Łódź. - Chyba rozumiecie, że sama nie mogłam się tego domyślić.

Zaczęła z wolna zbliżać się do wyspy.

Gregor wstrzymał oddech. Nie mógł wprost uwierzyć, by taki prosty podstęp mógł się udać. Choć z drugiej strony, dlaczego nie? Łódź zbudowano tak, by przyjmowała każde słowo tych, którzy nią kierują, za prawdę. Jeżeli tylko owa "prawda" była spójna logicznie z założeniami funkcjonalnymi łodzi, powinna ją ona przyjąć i wykonać.

Plaża znajdowała się teraz już tylko o pięćdziesiąt jardów, jaśniejąc w zimnym świetle poranka wstęgą bieli.

I nagle wrzuciła całą wstecz i zatrzymała się.

- Nie - powiedziała.

- Co nie?

- Nie mogę tego zrobić.

- Jak to nie możesz! - ryknął Arnold. - To jest wojna! Nasze rozkazy...

- Wiem - przerwała mu łódź smutno. - I jest mi bardzo przykro. Ale przecież do wykonania takiej misji wybrano by jednostkę pływającą jakiegoś innego typu. Jakiegokolwiek innego typu. Lecz nie łódź ratunkową.

- Musisz to zrobić - jęknął błagalnie Gregor. - Pomyśl o naszej ojczyźnie, pomyśl o barbarzyńskich H'genach...

- Wykonanie przeze mnie tego rozkazu jest czystą niemożliwością - wyjaśniła łódź. -

Podstawowym nakazem mego działania jest zabezpieczenie korzystających ze mnie osób przed wszelkim niebezpieczeństwem. Ten imperatyw zapisano na każdej z moich taśm, dając mu bezwzględne pierwszeństwo przed wszystkimi innymi nakazami. Nie mogę pozwolić, byście wyruszyli na pewną śmierć.

Łódź zaczęła oddalać się od wyspy.

- Za ten brak subordynacji czeka cię sąd wojskowy! - wrzasnął histerycznie Arnold. - Zostaniesz całkowicie rozbrojona.

- Muszę działać w wyznaczonych mi granicach - odparła smutno łódź. - Jeśli znajdziemy flotę, przekażę was niszczycielowi. Lecz tymczasem muszę umieścić was w jedynym miejscu, gdzie nic wam nie grozi - na biegunie południowym.

Nabrała szybkości, zostawiając wyspę powoli w tyle. Arnold rzucił się do tablicy kontrolnej i w tej

samej chwili znalazł się, mocno oszołomiony, na pokładzie. Gregor chwycił manierkę i zamierzył się, by cisnąć nią daremnym gestem w zaryglowaną pokrywę luku. W połowie zamachu zamarł w bezruchu, porażony pewną szaleńczą myślą.

- Proszę was bardzo, nie próbujcie dokonywać żadnych dalszych zniszczeń - nadała błagalnie łódź.

- Wiem, co czujecie, ale...

Pomysł jest cholernie ryzykowny, uznał Gregor, ale przecież biegun południowy to i tak pewna śmierć.

Odkręcił manierkę.

- Jeśli nie wykonamy swojej misji - powiedział - to jakże moglibyśmy spojrzeć w twarz naszym towarzyszom broni? Jedyne, co nam pozostało, to samobójstwo. - Wypił trochę wody i podał manierkę Arnoldowi, wciąż jeszcze leżącemu w oszołomieniu na podłodze.

- Nie! Nie róbcie tego! - krzyknęła przeraźliwie łódź. - To jest woda!!!

To śmiertelna trucizna...

Z tablicy wystrzelił strumień energii i uderzył w manierkę, wytrącając ją Arnoldowi z rąk.

Arnold chwycił ją w powietrzu i nim łódź zdążyła zareagować ponownie, pociągnął z niej spory łyk.

- Umieram ku chwale Dromy! - zawołał Gregor, osuwając się na podłogę. Dyskretnym ruchem nakazał Arnoldowi, by się nie ruszał.

- Antidotum na tę truciznę nie jest znane! - jęknęła łódź. - Och, gdybym tylko skontaktowała się ze statkiem szpitalnym... - Zabrzęczała niezdecydowanie silnikami na jałowym biegu. - Odezwijcie się! - nadała błagalnie. - Powiedźcie do mnie choć słowo! Żyjecie jeszcze?

Gregor i Arnold leżeli w absolutnym bezruchu, wstrzymując oddech.

- Odpowiedzcie! Może gdybyście zjedli trochę pryki...

Podsunęła im pod nos dwie tace. Wspólnicy ani drgnęli.

- Nie żyją - orzekła łódź. - Nie żyją. Odprawię uroczystość pogrzebową.

Na chwilę zaległa zupełna cisza. A potem łódź zaintonowała: - Wielki Duchu Wszechświata, przyjmij pod swoją opiekę dusze tych Twoich dwóch sług. Choć zadali sobie śmierć własnymi rękami, uczynili to służąc naszej ojczyźnie, walcząc o domowe ognisko. Nie sądź surowo ich bezbożnego czynu, lecz winą obarcz raczej ducha wojny, który rozpała i niszczy wszystkich Dromów.

Pokrywa luku odskoczyła na całą szerokość. Gregor poczuł na twarzy powiew chłodnej bryzy.

- A teraz na mocy uprawnień przyznanych mi przez flotę Dromów i z pełnym nabożeństwem powierzam ich ciała głębinom.

Gregor poczuł, że zostaje wyniesiony przez luk i złożony na pokładzie.

Chwilę później znów uniósł się w powietrze, po czym zaczął spadać i w następnym momencie znalazł się w wodzie, tuż obok Arnolda.

- Unoś się bez ruchu - szepnął.

Wyspa znajdowała się zupełnie niedaleko. Ale łódź w dalszym ciągu krążyła wokół nich, porykując nerwowo silnikami.

- Jak myślisz, co ta łajba kombinuje? - spytał szeptem Arnold.

- Pojęcia nie mam - odparł Gregor, mając nadzieję, że Dromowie nie praktykowali obracania ciał swoich zmarłych w proch.

Łódź podpłynęła bliżej. Jej dziób znajdował się już tylko o kilka stóp.

Wspólnicy zamarli w napięciu. I wtedy to usłyszeli - upiorny skrzek hymnu narodowego Dromów.

Chwilę później było już po wszystkim.

- Spoczywajcie w pokoju - powiedziała łódź, po czym zawróciła i z rykiem silników pomknęła w dal.

Kiedy wreszcie odważyli się popłynąć do brzegu, Gregor zobaczył, że łódź ratunkowa kieruje się

na południe, ku biegunowi, by tam oczekiwać na przybycie floty Dromy.